

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką po cztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. λ. TEL 479

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok III. Kraków, 22 grudnia 1906 r. Nr. 51.

Wieczór wigilijny.

(Treść na stronie 2).

Stowgieński 906.

Numer niniejszy zawiera 32 strony, 60 rycin.



Wieczór wigilijny.



Staromiejska dzielnica Warszawy zapadła w mroki zimowego wieczora.

W izdebce robotnika na czwartaku ukończono już ostatnie przygotowania do tradycyjnej wieczerzy wigilijnej.

Dzieci cieszą się widokiem choinki w kącie, a matka zastawiając stół białym obrusem zakryty, raduje się myślą, że mąż jej ani jutro, ani pojutrze nie musi rano zrywać się wcześnie i na świst syren fabrycznych... biedz do roboty.

Młody ojciec, dzieci po główkach jasnych pogłaskał w zamyśleniu i przez okno wyglądał uważnie....

Ponad kolumną króla Zygmunta, widną z facyatki staroświeckiej kamienicy, dojrzał na niebie pierwsze gwiazdy i dał znać żonie, by wieczerzę na stół podawała, bo tak już tradycya każe w tym domu polskim — po ojcach, po dziadach...

Złamali opłatki, a gdy dzielili się nimi, jej głos w gardle uwiązł przy słowach życzeń i łzy w oczach zaświeciły.... On nic już nie rzekł, tylko żonę w czoło pocałował wzruszony do głębi... A myśli ich obojga pobiegły daleko.



(Reprodukcya z obrazu Piotra Stachiewicza).

Wszak brat jej poszedłszy na wojnę, nie powrócił już z Mandżuryi, a jego brat młodszy spędza święta w cytadeli....

Dzieci, widząc łzy w oczach matki, posmutniały, więc się rodzice przemogli i zasiedli do wigilii z twarzami pogodniejszemi, mimo że w sercach wspomnienia serdeczne spokoju nie dawały w uroczystą chwilę święta rodzinnego...

Już śpiew kolędy zabrzmiał w sąsiedztwie gdy tu jeszcze nie dokończono wieczerzy.

Wtem niespodziewanie z trzaskiem drzwi się otwarły i dźwięk ostróg żandarmów doleciał ze schodów.

Przerażeni obejrzeli się ku drzwiom otwartym i zrozumieli odrazu...

To rewizya!

* * *

I taki wieczór wigilijny przeżyła już Warszawa. W niejednym domu polskim właśnie przed rokiem rewizya policyjna przerwała tradycyjną wieczerzę uroczystą.

Bolesne wspomnienia odżyją w sercach naszych, gdy zasiądziemy za kilka dni do stołu wigilijnego i łamiąc się opłatkiem z rodziną, będziemy sobie wzajem życzyli, by już w Polsce nigdy nie powtarzała się taka wigilia....

* * *

I będziem sobie życzyli nawzajem, by corychlej ustała krucyata tysięcy polskich dziatek nad Wartą i w całej najstarszej dzielnicy naszej Ojczyzny — gdzie odżył duch Bismarka i Herod nowoczesny prześladuje niewiniątka za to, że nie chcą się wyrzec polskiego katechizmu...

* * *

Niewątpliwie taką musi być treść życzeń w tegoroczny wieczór wigilijny na ziemiach polskich. I takiemi życzeniami dzielimy się z naszymi Współpracownikami, z naszymi Czytelnikami i Przyjaciółmi naszego pisma, które zjawi się w progach domów polskich z chwilą, gdy wszyscy gotować się będą do obchodu uroczystych świąt Bożego Narodzenia.

Obyśmy tedy wszyscy doczekali corychlej dnia, w którym Gwiazda Betleemska stanie się dla Polski gwiazdą spokoju i szczęścia!



Szopka.

Trzej Królowie z wschodniej strony
Przyjechali mimo trudy —
Złożyć dary i pokłony
Zbawcy, który zbratał ludy....

Odjechali Trzej Królowie.
Pozostała jeno szopka....
Dzieciom snują się po głowie
Cud-jasełka w koło żłobka.

Od Trzech Króli do Gromnicy
Lubo śnieżna zawierucha,
Z „gwiazdą“ chodzą kolędnicy —
We wsi pieśnią krzepić ducha.

Hej, kolęda! Znikły mroki,
Miłowania Gwiazda płonie;
Chłopów, królów wiedzie kroki —
Gdzie Bóg w szopie, nie na tronie!



Zerwanie z Kościołem we Francyi.

Nagle zaostrzyły się stosunki Francyi z Watykanem. Kościół katolicki w republice francuskiej czekają niezawodnie przejścia bardzo ciężkie, a położenie rządu stało się również bądź co bądź kłopotliwe. Papież zabronił duchowieństwu we Francyi składać w sprawie odprawiania służby Bożej deklaracyi, wymaganej przez ustawę z r. 1881 o zgromadzeniach. Idzie tu tylko o formalność, ale jeśli gdzie — to w danym wypadku niepodobna formy oddzielić od istoty rzeczy. Po 12 tym grudniu br. czyli od chwili wejścia w życie ustawy separacyjnej po rozdziale Kościoła od państwa we Francyi — nabożeństwa w kościołach republiki mają odbywać się za zgłoszeniem u władzy, jako zgromadzenia publiczne. Ponieważ tylko dla dwóch kościołów paryskich wpłynęły do władz zgłoszenia o wykonywaniu obrzędów religijnych po myśli ustawy, co do reszty zaś 60 kościołów nikt nie wniósł deklaracyi, stosując się w tym o porze do życzeń papieża, więc w dniu 13 bm. byli na nabożeństwach w kościołach, bardziej nawet niż zwykle przepełnionych, agenci policyjni w sposób prywatny i stwierdzali naruszenie wymienionej ustawy. Duchowni, którzy odprawiali msze w tych kościołach, pomimo, że weszła już w życie ustawa separacyjna, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Ogółem w całej Francyi, jak wiadomo, przeważnie katolickiej — wpłynęła do władz tylko znikoma liczba zgłoszeń o odprawianiu nabożeństw, bo zaledwie 80 na setki kościołów w tylu miastach i wsiach państwa. Do odpowiedzialności mają też być pociągnięci księża, którzy odczytali



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Kardynał Richard, arcybiskup paryski, który z nakazu rządu musiał wyprowadzić się z pałacu arcybiskupiego.

z ambon ogłoszenie kardynała Richarda, arcybiskupa paryskiego, iż służba Boża pomimo wszystko będzie się odbywała w dalszym ciągu bez zgłoszeń. Gdyby rząd zechciał być konsekwentnym,



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Wyguany z Francyi ks. Montaquini de Mirabello, który w Paryżu zastępował nuncyusza papieskiego.

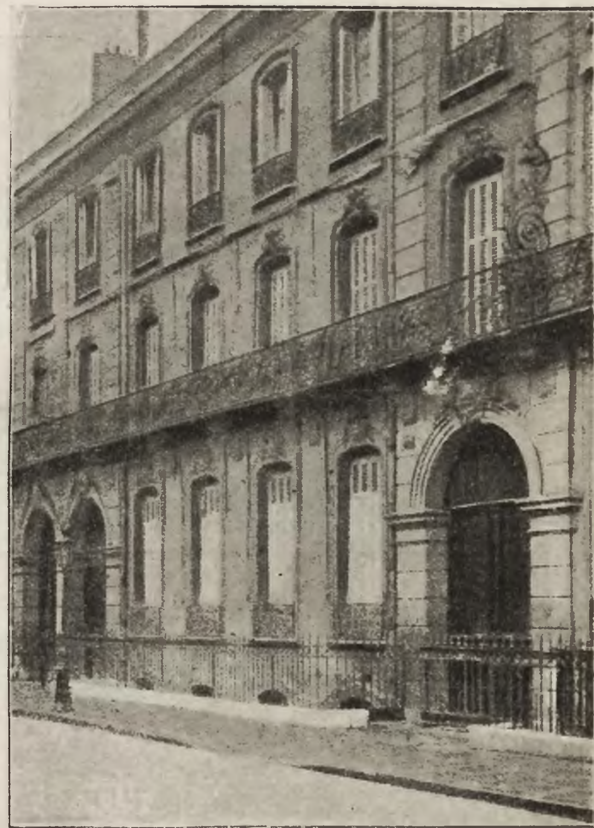
w takim razie nowy kurs musiałby rozpocząć od uwięzienia wszystkich proboszczów i biskupów, ustawa o zgromadzeniach nakłada bowiem za niezgłoszenie zebrania karę 5 dni aresztu. Duchowny, który mszę odprawia, jest, według zapatrywań obecnych przedstawicieli rządu, zwołującym zgromadzenie i przeto odpowiedzialnym przed władzą za niezgłoszenie. Niewiadomo jeszcze, czy możliwem okaże się wykonanie litery prawa w tym wypadku. Rząd jednak zechce dla samego przykładu przeprowadzić nową ustawę w życiu praktycznem. Wówczas rozgoryczenie szczerze katolickich kół ludności, dostatecznie i bez tego już podrażnionej, będzie szukało upustu i powtórzą się sceny, które w tylu miejscach towarzyszyły niedawno spisywaniu inwentarza kościelnego.

A jak dalece dzisiejszy rząd w Paryżu w swem zacietrzewieniu stracił zimną krew, dowodzi brutalność, której dowody złożył w zachowaniu się swojem wobec msgra Montaquiniego. Prałat ten od czasu odwołania nuncyusza zastępował w Paryżu oficyalnie Stolicę Apostolską. Otóż przed tygodniem zjawiła się po południu w mieszkaniu ks. Montaquiniego komisya rządowa i oświadczyła mu krótko a węzłowato, że wieczorem zostanie odstawiony do granicy. Jakoż w dwie godziny potem przewieziono tego dostojnika kościelnego, jak pospolitego zbrodniarza w towarzystwie dwóch ajentów policyjnych z pałacu nuncyatury do dyrekcyi policyi, poczem prałat musiał opuścić Francyę niezwłocznie; do granicy włoskiej towarzyszył mu komisarz rządowy.

Rada ministeryalna zatwierdziła już propozycye nowego ministra oświaty co do przeprowadzenia ustawy o rozdziale Kościoła od państwa. Przewidują one wstrzymanie wypłat pensyi, likwidacyą majątków kościelnych, zabranie probostw, rezydencyj biskupich i seminaryów. Postanowiono również, że 5 500 wychowanków zakładów duchownych ma przedłożyć komendzie poborowej odpowiednie certyfikaty, jeśli bowiem nie uczynią tego do 20 bm., otrzymają wezwania do służby wojskowej już w dniu Nowego Roku.

Szach perski umiera...

Król królów dogorywa w Teheranie. Lada chwila spodziewają się w Europie wiadomości o śmierci Muzafer-ed Dina, po którym na tronie Persyi zasiąść ma książę Mohammed Ali Mirza (zamieszczamy dziś portrety ich obu). Ciężka i beznadziejna choroba tego egzotycznego władzcy przywołuje znów na pamięć obraz tej dziwnej osobistości, której całe zachowanie się i charakter są



Zerwanie z Kościołem we Francyi. Dawny pałac nuncyatury papieskiej w Paryżu.

tak zgoła odmienne od innych panujących wschodnich. Otoczenie, w jakiem szach się obraca i sposób, w jaki przepędza swoje dni, opisał bawiący w Teheranie przez długi czas J. H. Fraser. Przytoczymy tu niektóre szczegóły z jego opisów, publiczność bowiem zwykła interesować się chętnie życiem władzców egzotycznych.



Fot. apar. red. „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.

Uznanie dla weteranów pracy: Uroczystość wręczenia medali za 40-letnią służbę trzem podurzędnikom pocztowym w Krakowie: 1. dr. Maryan Biliński, dyrektor poczt i telegrafów, 2. jego zastępca p. Münnich, 3. naczelnik kasy pocztowej p. Czałczyński, 4. dekorowany Aleksander Buczko, 5. dekorowany Antoni Figura, 6. dekorowany Grzegorz Pachołek.

Szach perski — opowiada Fraser — prowadzi swe życie wygodnie i wspaniale, jak na wielkiego władzcę wschodniego przystało — przeznaczając swój czas przez pół dla spraw państwowych, a przez pół na swoje ulubione zabawy, do których w pierwszym rzędzie należy fotografia. Tron wspaniały muje ministrów. Do ubrania nie przywiązuje on żadnej wagi, a w sali obrad pokazuje się w codziennem ubraniu domowem i drepce w ulubionych pantoflach przez całą salę aż do swego miejsca. O tem jego zamiłowaniu do nieporządnej garderoby świadczy najlepiej znana anegdota o odsunię- i zajmuje się gorliwie polityką Europy. Sam przy każdej ważnej czynności ma zwyczaj zapytywać siebie: Jakby też postąpił w tej okoliczności król angielski lub inny? Po spożyciu śniadania szach sypia przez godzinę, poczem oddaje się w zupełności swoim ulubionym zajęciom. Więc telegrafuje



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Teolodzy wynoszą się z seminaryum w Paryżu.



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Teolodzy wynoszą się z seminaryum w Paryżu.



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Teolodzy wynoszą się z seminaryum w Paryżu.



Zerwanie z Kościołem we Francyi: Teolodzy wynoszą się z seminaryum w Paryżu.

szacha, którego cena przenosi 60 milionów franków, zbudowany ze szczerego złota, jest dlań prawie że obojętnym. Takich bogactw, jak ów tron, posiada Muzaffer ed Din więcej w swej stolicy, że przypomnimy zbudowany dla jego ojca Nasred-Dina globus ze złota, wysadzony 51.000 drogich kamieni, które formują lądy; morze jest zrobione ze szmaragdów, Persya z turkusów, Indye z ametystów, Afryka z rubinów, a Francya i Anglia z dyamentów. Szach perski wstaje rano bardzo wcześnie, zaraz modli się, potem pije szklankę herbaty z kromką chleba, a o ósmej godzinie przyjciu się od niego pierwszej jego żony, która dla tego nie chce z nim żyć, że dostojny małżonek mało kiedy się myje. Po naradzie z ministrami wysyła szach listy i depesze oraz załatwia wogóle rozmaite sprawy państwowe, co mu zabiera dziennie sześć godzin czasu. Następnie zasiada do śniadania. — Jada szach osobno. Pierwej jadał on na ziemi zasłanej dywanem, ale od czasu, gdy poznał cywilizacyę europejską, siedzi na niskiej sofie, a potrawy podają mu na stole wysokim na stopę. Sam szach jada wszystko palcami. Podczas śniadania każe sobie czytywać francuskie gazety do swego benjaminka, ministra Puffa, ze swego małego aparatu, poczem z nim zabawia się sadzeniem roślin, a już najwięcej czasu poświęca fotografowaniu. Niektóre zdjęcia są pysznie wykonane. Ma on pasyę wogóle uwieczniać siebie samego przedewszystkiem na kliszy fotograficznej i niemal codzień fotografuje się w najrozmaitszych pozach i kostyumach. Kazał się nawet odfotografować w łóżku, a raz w stroju pastora anglikańskiego. Muzaffer ed Din nie pije żadnych trunków w przeciwieństwie do ojca, który musiał co wieczór wychylać cały szereg butelek porto.. W stosunku do poprzedników, żyje szach dzisiejszy znacznie wstrzemięźliwiej, ma stosunkowo mało dam w swoim haremie, bo zaledwie 60, z którymi miał czterech synów i 23 córki, podczas, gdy słynny Nasr ed-Din, ojciec jego i poprzednik bezpośredni na tronie, liczył w swym haremie 1720 żon!





Zerwanie z Kościołem we Francyi: Wywożenie dokumentów byłej nuncyatury papieskiej, przechowanych u ks. Montaquiniego w Paryżu.



Szach perski umiera: Książe Mohamed Ali Mirza, który wstąpi na tron po śmierci szacha



CZWARTA DUSZA.

Nowelka wigilijna

przez **Zygmunta Sarneckiego.**



dobiegającym do końca 1863 roku, po mgłach i dżdżach nieustannych, sączących się z chmurnego nieba niemal codziennie w ciągu pierwszych trzech tygodni grudniowych, nagle, w nocy z dnia 23 na 24 chwycił mróz kilkustopniowy, ścinając w szklisty lód mętną wodę kałuży i pokrywając mokre gałęzie drzew i krzewów szronem białym, iskrzącym się wesoło w słonecznej czerwieni jasnego poranka. Jakaś radość pogodna zapanowała w przyrodzie, sprzeczając się gorzko i boleśnie z powszechnym smutkiem, przepełniającym serca ludzkie.

Na szerokim obszarze ziemi polskiej, podległej berłu Aleksandra II, rok 1863, witany niedawno przez wszystkich nadzieją wyzwolenia, kończył się obecnie srogiem rozczarowaniem i upadkiem ducha. W krwawych, a nieszczęśliwych walkach dogorywało powstanie, dławione potężną przewagą wroga, urągającego bohaterskim wysiłkom garstek źle uzbrojonych, młodych ludzi, idących dotąd tu i owdzie z podniesionem czołem na śmierć pewną, lecz nie marzących już o zwycięstwie.

Ci, którzy pozostali w domach, lub z niepomyślnych wypraw do nich powrócili, których nie wywieszano, nie rozstrzelano, nie uwięziono i nie wysłano na Sybir, pogrążeni w zgnębieniu żałobnem, snuli się po świecie, jak cienie czarne, ledwie automatycznie czyniące zadość potrzebom i obowiązkom życia. Niebo zaś w wigilię Bożego Narodzenia rozpogodzone nad nimi niespodzianie, oblewało ich pochylone postacie i ponure oblicza blaskiem promiennym, jakby chciało cudowną władzą swego czaru, w nawiedzonych rozpaczą i zwątpieniem duszach, wzbudzić nową wiarę w nieśmiertelność miłości ojczyzny.

Wówczas to, w okolicy o polach urodzajnych, pokrajanych pługiem w ciemne, śniegiem jeszcze nie zakryte bruzdy, staczające się krętemi smugami po bokach pagórków, aż do ich podnóży, aż na brzeg łąk, pokrytych cienkim lodem, — a na których w lecie zielenieć musiała bujna i wonna trawa — stał niski, nieduży, wapnem pobielony dworek szlachecki, poszyty zczerniałą słomą. Zajeżdżało się przed jego ganek przez niemal zawsze rozwarte gościnnie stare wrota drewniane, z wysoko nad niemi wzniesionym daszkiem gontowym, oprawione z jednej i drugiej strony w parkan z tarcic dębowych, okalających zabudowania gospodarcze i sad, przylegający do lasu. Olbrzymia lipa w pośrodku podwórza, bzy i jaśminy gęsto zasadzone przed spichlerzem, stodołami, oborą i stajnią, oraz wysokie grusze, smukłe śliwy i rosochate jabłonie, tworzące szaro białe tło za dworem, mieniły się brylantowemi połyskami światełek, drgających w kryształach szronu tęczowym migotem.

Całe to pospolite i powszednie, ale zarazem śliczne ustronie, położone — zda się — gdzieś na krańcach świata, dyszało ciszą świąteczną. Lecz myśl, pod wpływem całorocznych wrażeń, i w niej szukała smutku. Wszakże, gdy tu panuje spokój, tam dalej lub bliżej, wre bitwa może, leje się krew bratnia i ginie tylu.. tylu... zgonem dających świadectwo życia narodu. Tam może żołnierz rosyjski, do Polski z Azyi przysłany, pastwi się nad rannymi, albo pędzi przed sobą pojmanych jeńców, by ich oddać w ręce kata.

Na ścieżce, wydeptanej przez czeladź w pośród zmarzłej gruly, a wiodącej ze stodoły do dworu, ukazał się człowiek niski, krępy, liczyć mogący lat sześćdziesiąt, żwawo jednak poruszający się jeszcze. Odziany był w stary, wytarty, starannie z powodu święta oczyszczony kubrak popielaty, przepasany nad biodrami wązkim rzemieniem, u którego zwisał aż prawie na juchtowe, wysokie buty, kolan sięgające, spory pęk ciężkich kluczy. Na głowie miał siwą czapkę barankową. Wyzierały z pod niej kosmyki gęstych siwych włosów. Niósł w ramionach dwa niewielkie snopki, tylko co widocznie nową taśmą parcianą związane. Jeden był z żyta, drugi z pszenicy. Kołyszące się pełne ziarn kłosy, ostrymi wąsami muskały go po wygolonej, czerstwej twarzy. Nie zważał na to, zatopiony w przykrem, głębokiem zadumaniu

Dopiero, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi na ganku, podniósł głowę do góry, szybko się wyprostował, a zamglonym łzami oczom nadał nagle wyraz męskiego animuszu i energii.

W drzwiach stała kobieta, może nie stara, lecz tak zmarnowana zgryzotą i cierpieniem, że wieku jej najbystrzejszy obserwator odgadnąćby nie zdołał. Czarna suknia opinała jej kształtną, chociaż wątłą kibić. Na ciemne włosy, siwiejące już nad skroniami, narzuciła czarną chustkę wełnianą, przy której bladość jej wynędzniałych lic wydawała się niemal trupią. Postąpiła parę kroków ku stopniom kamiennym i oparłszy się o jeden z filarków, podtrzymujących okap dachu, rzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— Cóż, Lesiu, czy nie powiesz mi nic nowego?

— Nie, proszę pani — odparł starzec. — Ani jedna banda nie kręci się koło nas na pięć mil wokoło, a i kozactwo pociągnęło nad Wisłę. Przejechałem w nocy na mojej kasztance najbliższe nam strony, bo zbyt daleko zapuszczać się nie chciałem, żeby bądź co bądź czuwać nad panią i jej mieniem, tak łatwo dziś uledz mogącem grabieży. Śladu powstańców nigdzie nie znalazłem, języka zaś z dalszych okolic zasięgnąłem od żydów i chłopów. Nikt nic o nich nie wie. Zdaje się, że to już koniec ruchu, że płomień dogasa. Jakkolwiek nie rozumiem się na takiej wojnie, jaką oni... Boże zmiłuj się!... prowadzą, bo inną praktykowałem za młodu, jakkolwiek wiem, że niekiedy, jak piorun nieoczekiwany, spadają na wsie i miasteczka ni stąd ni zowąd, pewny jednak jestem, że na święta nie możemy się tu ich spodziewać.

Kobieta jękła boleśnie. Coś, niby obłęd, mignęło w jej źrenicach.

— Nie trzeba się martwić, nie trzeba rozpaczać. Bóg pocieszy. Karolek... chciałem powiedzieć, pan Karol... od dawna już musi być za granicą. Wszakże w ostatnich dniach stycznia wybrał się z domu, a listów od niego pani nie otrzymuje, bo urzędnicy przejmują je na poczcie. Oho! umieją sobie oni z wszelkiemi pismami radzić!

— Przysiądzbym mogła, że z kraju nie wyszedł — zawołała podniesionym głosem. — Krew rycerska dziada i ojca płynie w jego żyłach... on się nie cofnie i współtowarzyszów broni nie opuści!

— Boże mój! wszakże nie o opuszczeniu szeregów, proszę pani, mówiłem. Znam naszego panicza, a z nieboszczykiem panem, kubek w kubek do niego podobnym, służyłem przecież pod jedną chorągwią .. lecz proszę mi wierzyć, że gdy wojsko regularne otoczy i naprze oddział nieliczny, złożony z chłopaków dwudziestoletnich, nie posiadających wojennego doświadczenia, to choćby wszyscy byli takimi zuchami, jak Karolek... przepraszam, chciałem powiedzieć, jak pan Karol... cofnąć się muszą. Jeśli zaś rzecz podobna stała się nad granicą, wpadli niewątpliwie w łapy huzarów węgierskich, którzy rozbroiwszy ich, wydali władzom cywilnym; te zaś, nie namyślając się długo, wyprawiły całą paczkę do Ołomuńca, a może nawet do Kufsteinu, gdzie i ja niegdyś przesiedziałem czas jakiś za kratą.

Stary mówił tonem niby pewnym i uspokajającym, lecz mimowoli wyraz jego oczu zmącił się znowu, myślał bowiem w duchu: »Nie Austryacy, a Moskale go ujęli i popędzili na Sybir, a kto wie... Boże uchowaj... czy nie powiesili«...

W mózgu Leśniewskiego myśl okropna nie zagościła dłużej nad sekundę, a jednak serce matki ją odczuło. Drgnęła całem ciałem i krzyknęła:

— Nie... nie! on żyje... mój syn żyje... On wróci!

Zaniosła się gwałtownem łkaniem.

— Niech pani nie płacze... i ja wierzę, że powróci. Wczoraj właśnie z wujaszkiem — poprawił się — z panem prezesem mówiliśmy o tem. Prezes takoż nie wątpi, że Karolek.. że pan Karol... do nas powróci, musi się jednak wprzódy przekonać, że już niema po co włóczyć się po lasach, że dubeltówkami na zająca i skałkowymi pistoletami nie można pokonać armat i karabinów. Dobrodziejka dobrze zna pana prezesa, więc wie... Pani moja, proszę nie płakać.

Jeszcze nie skończył, gdy na ganku zjawił się wysoki, chudy mężczyzna, w długim płaszczu futrzanym z bobrowym kołnierzem, w filcowych butach na nogach. Twarz miał marmurowo białą, o wyrazie surowym, okoloną paskiem siwych, krótko przystrzyżonych faworytów. Na rozszerzonem przez łysinę czole, rysowały się tu i owdzie żyły, chwilami od napływu krwi uwypuklające się wydatnie, chwilami zupełnie gładkie i cienkie, jak nitki sinego jedwabiu. Trzymał się prosto i sztywnie. W oczach jego malowały się: upór, zacietość i pogarda dla słabości ludzkich. Wiek sędziwy zdradzały tylko nerwowe drgawki głowy, trzęsącej się od czasu do czasu to w prawo, to w lewo. Mówił cicho, lecz wyraźnie, głosem suchym, twardym, niemal bezdźwięcznym.

— Czemu Zosia na mróz wychodzi? jeszcze się przeziębi! Czy mało mamy nieszczęść, czy Zosia pragnie liczbę ich powiększyć?... A pan Leśniewski na co ją zatrzymuje na ganku?

— Pani mnie wypytywała o moją nocną wyprawę po wiadomości...



— Wypytywać można i w pokoju, gdzie ciepło, nie zaś tu, na przejmującym chłodzie.

— Słońce świeci, pogoda — szepnęła kobieta, ocierając łzy ukradkiem. — Dzień taki śliczny...

— Piękny dzień zimowy i z okna admirować można, nie na ganku, w sukience wiatrem podszytej. Jeśli chciałaś odetchnąć świeżem powietrzem, należało wziąść na siebie futro... i berlacze... jak ja. To też idę przejść się po ogrodzie, a Zosia niech wróci do domu. Jeśli chodzi o dłuższą konferencyę, czy konwersacyę, to pan Leśniewski może ci towarzyszyć... Tylko proszę mojej siostrzenicy nie rozczulać zbytecznie. Wszelkie sentymentalizmy rozstrajają nerwy, nie przynosząc nikomu korzyści. — Po chwili dodał z naciskiem — nikomu... nikomu!

To mówiąc, zeszedł pewnym krokiem z kamiennych stopni, otulił się szerokim płaszczem i znikł za węgłem, między srebrzącą się od szronu gęstwiną sumaków i leszczyny.

— Daj mi snopki, Lesiu, które od dawna na rękach piastujesz, jak ukochane dzieci — rzekła pani Zofia po chwili. — W roztargnieniu mojem nie przyszło mi na myśl, że trzeba je ci odebrać i zanieść do jadalnego pokoju.

— Zaniosę, je proszę pani.

— Nie chcesz mnie samą pozostawić? Dziękuję. Więc chodźmy razem.

W jadalni, młody parobczak, Janek, zastępujący służącego, który razem z Karolem poszedł do powstania, nakrywał stół do wigilijnej wieczerzy.



Leśniewski, znający zwyczaje domu, w dwóch przeciwległych rogach prostokątnego pokoju umieścił snopki na dwu kolumnach machoniowych, o złoconych kapitelach i podstawach, w stylu pierwszego cesarstwa. Na jednym z nich stało popiersie Kościuszki, na drugiem księcia Józefa Poniatowskiego Starzec nie zdjął żadnego, tylko wysunął je nieco naprzód w taki sposób, aby zboże utworzyło za niemi złote i srebrne tło — symbol łanów polskich. Poczem obszedł izbę w około, na ścianach której wisiały portrety rodzinne. Jeden z nich przedstawiał rotmistrza kawaleryi narodowej, drugi porucznika czwartego pułku strzelców konnych. Przed każdym pochylił głowę z szacunkiem, położył szybkim ruchem znak krzyża świętego na piersi i wyszeptał cicho:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie.

Następnie, zbliżył się do pani Zofii, pogrążonej w zamyśleniu głębokiem, i spoglądającej przez podwójne, dotąd jeszcze nie zamarznięte okno, na sad, iskrzący się jaskrawo szronem, zaczerwienionym teraz tysiącznemi promieniami chylącego się już ku zachodowi słońca.

— Janek siana pod obrus nie żałował, bije z niego zapach, jak ze świeżo skoszonej łąki. Siano mamy w roku bieżącym przepyszne, jakiego od wielu lat nie pamiętam. Bóg jedną ręką odbiera, a drugą rozdaje.

Rzucił mimowoli okiem na talerze, ustawiane przez chłopaka.

— Pierwsza to wigilia Bożego Narodzenia, w ciągu której zasiędzie pani do stołu tylko z panem prezesem.

— No, i z tobą, mój Lesiu. Wszakże, jeśli nie krwią, to duszą należysz do naszej rodziny; wszakże od tylu lat dzielimy się zawsze chlebem powszednim, którego nam dostarcza twoja praca.



— Nie, proszę pani, dziś do stołu z wami nie siędę. Przy tradycyjnej wieczerzy siedzieć musi parzysta liczba biesiadników, bo inaczej... inaczej... Może to przesąd, ale, w ciężkich czasach, licha kusić nie trzeba. Obejdzie się tu dziś bezemnie. — Poczem szepnął, jakby marząc. — Uczta wigilijna domaga się parzystej liczby dusz ludzkich.

— Będzie tu dusz ludzkich dwie pary — rzekła pani Zofia tonem stanowczym, a w źrenicach jej zapłonął znowu błędny ognik bolesnego szału. — Ty Lesiu z wujem... jedna para; ja z Karolem... druga. Czy przyjedzie, czy przyjdzie?... nie wiem, ale go zobaczysz. On z matką opłatkiem się przełamie, jestem tego pewną. — Położyła wychudłą, przeźroczystą, jak biały wosk, rękę na ramieniu parobczaka. — Janku! cztery nakrycia, na cztery osoby... dla ludzkich dusz czterech. Czy rozumiesz?

— Rozumiem, proszę wielmożnej pani.

Zwróciła się do Leśniewskiego:

— Czwarta dusza obok mnie siędzie, jak niegdyś, jak zawsze... Zobaczysz!

Na czoło starca wystąpiła czarna chmura. Opuścił głowę na piersi i nic nie odpowiedział.

Milczenie trwało kilka minut.

Przerwała je pani Zofia.

— Idę się ubrać, zmienić suknię... Chłopiec mój, nie powinien mnie zastać w żałobnej szacie. A i ty, Lesiu, wystąp świątecznie... bylebyś się nie spóźnił. Znasz wuja, wiesz, że punktualny, jak zegarek... a raczej, jak były naczelnik biura w Komisyi Skarbu... w każdym calu wzorowy urzędnik. Zaledwie pierwsza gwiazda ukaże się na niebie, stanie tu niezawodnie... tu, przy stole... i opłatek weźmie do ręki...: i. składając mi życzenia, srogim przeszyje mnie wzrokiem... bo chociaż Polskę kocha i odbudowania jej pragnie, przebaczyć mi nie może, że syn mój poszedł do powstania. Wiesz że bałam się go całe życie i boję się dotąd... więc spieszyć się z ubraniem muszę... jakkolwiek, Bóg świadkiem, wolałabym, żeby wieczerzę podano dziś później nieco... znacznie później... bo... bo Karolowi może do nas daleko. Przyjedzie pewno bardzo zmęczony długą drogą, a jego bułanek tak strasznie trzęsie... Gdy nie zaczekamy na niego z wieczerzą, gotów pomyśleć, żeśmy o nim zapomnieli... Boże, mój Boże, jak.e to przykre, jakie dla mnie upokarzające!... Więc, mój Lesiu, przyjdź pierwszy... i zajmij wuja rozmową o polityce... albo przeczytaj mu co z gazet, które nam z Galicyi przysłano... coś o Napoleonie, o układach dyplomatycznych... o sympatyi ludów dla naszej sprawy... o Hotelu Lambert... coś, co go dla mnie i dla Karola dobrze usposobi... A teraz do widzenia... do widzenia, mój Lesiu!

I wybiegła jakaś dziwnie ożywiona, promieniejąca radością — szczęśliwa.

Starcowi zdało się, że olbrzymią kulę ołowianą u nóg mu uwiązano. Szedł do swojej stancyjki w oficynie krokiem niepewnym, zataczając się i ślizgając po lodzie, błyszczącym jak szkło w zamarzłych wybojach.

W dwie godziny potem, przyodziany we frak szafirowy ze złotemi guzikami — w białym, muślinowym halsztuku, z gazetą w ręku — stał w rzęsiście oświetlonej jadalni, przy wielkiem, weneckiem oknie, na którego szybach wzmagający się pod wieczór mróz wyhaftował już fantastyczne arabeski i kwiaty. Po chwili, prezes drzwi otworzył i zatrzymawszy się sekundę na progu, rzekł cicho, ale wyraźnie, suchym, twardym, bezdźwięcznym głosem:

— Cóż to? mojej siostrzenicy niema?

— Nadejdzie zaraz — odparł Leśniewski.

Głos jego brzmiał jeszcze w powietrzu, gdy drugie drzwi, prowadzące do sypialni niewieściej, rozwarły się szeroko na oścież, a w nich ukazała się pani Zofia w balowej toalecie, prawie młoda i niemal tak piękna, jak niegdyś. Prezes, olśniony niespodzianym widokiem, milcząc, usiadł na krześle. Ona wzięła opłatki i zbliżyła się naprzód do niego:

— Wiesz, wuju, czego ci życzę — powiedziała słodko. Potem wyciągnęła rękę do starca — i ty wiesz także, od dawna.

Poniosła kawał opłatka do ust własnych.

— Teraz łamię się z tobą, Karolu! Czy słyszysz?

Zegar ścienny wydzwaniał wtedy powoli godzinę piątą.

Nagle, jedna z szyb wewnętrznych w podwójnem oknie weneckiem pękła z głośnym brzękiem, jakby wyparta z ram silną, męzką dłonią. Odruzgi szkła rozsypały się po podłodze, na której leżała pani Zofia martwa, lecz z wyrazem niebiańskiej radości w nieprzesłonionych powiekami oczach.

*

Leśniewski, w kilka tygodni potem, dowiedział się od jednego z dowódców oddziału, nocującego w białym dworku, że Karol, wysłany w wigilię Bożego Narodzenia na rekonesans, poległ na polu walki z wrogiem — o godzinie piątej wieczorem.



Grób króla Bolesława Śmiałego,

zabójcy św. Stanisława.

Podróżny zapuściwszy się do Karyntyi, z prawdziwą przyjemnością podziwia piękne jezioro Ossjackie. Ale Polak, który koleją Rudolfa jedzie z Villach do Feldkirchen, nie pominie na tej drodze stacyi Ossjak, położonej w malowniczej dolinie nad wspaniałem jeziorem. Ta starożytna miejscowość w Karyntyi wplotła się bowiem przypadkiem w historyę naszej królewskiej ojczyzny — jak to poniżej właśnie przypominamy.

W Ossjaku (Ossoje) istniał pierwszy w Karyntyi klasztor męski, założony jeszcze około roku 689, a przywilejami uposażony w 1024 przez cesarza Konrada III. Nie będziemy zajmowali się tu losami, jakie w różnych czasach burzliwych przechodziło przez szereg wieków to pobożne zgromadzenie mnichów za murami pustelni nad jeziorem. Natomiast zatrzymamy się nad kroniką opactwa Benedyktynów w Ossjaku jedynie za rządów opata O. Teucho, który około roku 1082 przyjął w zacisze klasztorne w szacie pielgrzymiej — naszego króla Bolesława II.

Panowanie Bolesława Śmiałego, który jako czwarty król Polski wstąpił na tron w 1058, zbyt jest znane, byśmy jego historyę mieli tu powtarzać. Wiadomo tedy, że skutkiem scysyi między królem a biskupem krakowskim, Bolesław dnia 8 maja 1079 r. wpadł do kościoła na Skałce i zamordował podczas mszy biskupa Stanisława Szczepanowskiego, którego dziś Kościół i Polska katolicka czci jako świętego męczennika i patrona kraju. Wiadomo dalej, że w pewien czas po swym strasznym czynie król opuścił kraj potajemnie, uchodząc na Węgry. Niedługo bawił w gościnie u króla Władysława, skąd wreszcie postanowił — dręczony coraz bardziej wyrzutami sumienia — udać się do Rzymu, żeby odpokutowawszy za swą zbrodnię, módz prosić w skrusze papieża o zdjęcie z niego klątwy kościelnej.

Do Rzymu nie przybył. W drodze zabłądził pielgrzym do Karyntyi i utknął w cichej dolinie jeziora Ossjackiego, gdzie znalazł gościnę u Benedyktynów w murach opactwa, które też przechowało po dziś dzień zapiski o jego tam pobycie i rychłym zgonie.



Grób króla Bolesława Smiałego, zabójcy św. Stanisława: Widok pomnika na grobie króla polskiego Bolesława II. w zewnętrznej ścianie kościoła przy starożytnym klasztorze Benedyktynów w Ossjaku w Karyntyi.

Kiedy król Bolesław w szacie pielgrzymiej zatrzymał się przed klasztorem w Ossjaku, musiał przeczuć zapewne, że znalazł miejsce w swej tułaczce rozpaczliwej, gdzie nakoniec mógłby zaznać spokoju upragnionego, gdzieby mógł uwolnić się od przygniatającego mu sumienie ciężaru. Powziął tedy postanowienie, że poprosi mnichów o przyjęcie go w mury klasztorne, w obrębie których nieznany, służąc w pokorze, będzie mógł odbyć cichą pokutę. Było to około roku 1082.

Zapukał do bram klasztornych. Otwarł mu furtyan i wpuścił gościnnie pielgrzyma, który przedstawiwszy się jako niemy — giestami dawał do zrozumienia, iż prosi o przyjęcie. Furtyan dał znać opatowi O. Teucho. Przyprowadzony do przeora, nic nie rzekł, a tylko na pytanie dał odpowiedź na piśmie: „Zmiłujcie się nad nieszczęśliwym niemową i przyjmijcie go z łaski swojej“. Od razu opat zauważył, że suknia pielgrzyma okrywa ciało okazałego męża o szlachetnej twarzy, ale nie chciał go pytać — kim jest... Mimo to zaproponował mu, że gotów go przyjąć na opróżnione świeżo skutkiem śmierci miejsce służącego, ale nieznajomy tylko z zadowoleniem oświadczył gestami, że chętnie pełnić będzie najgorsze posługi w klasztorze.

Istotnie pozostał nieszczęsny król w sukni pokutnika w Ossjaku, spełniając w klasztorze czynności parobka. Kroniki opactwa zanotowały, że „niemy pokutnik“ rąbał drzewo, nosił wodę, czyścił cele, sale i korytarze klasztorne, pomagał w kuchni i w ogrodzie.

Jego pokora w nowym stanie, jego wytrwała cierpliwość, uległość i posłuszeństwo względem rozkazów przełożonych, a szczególniej trwanie bez przerwy w niemocie — świadczyły o tem, że pokutnik sam siebie opanował w zupełności.

Jakkolwiek domyślano się, że nieznajomy, umiejący czytać i pisać, musi pochodzić z wysokiego stanu i prawdopodobnie jako wojownik piastował godność bardzo wysoką, to jednak niezważano na nic i posługacz klasztorny znosił nieraz mnóstwo przykrości, narażony nawet na drwiny i pośmiewisko, co wszystko przyjmował cierpliwie i pokornie.

Ciężką swą służbę wśród mnichów Benedyktyńskiego opactwa, pełnił już niemy pokutnik przez lat siedm, a nie zdradził przed nikiem swojej tajemnicy. Od spowiednika jego bowiem, nikt się nie dowiedział niczego o tym obcym człowieku, mimo, że ten jeden w owych murach musiał wiedzieć o wszystkiem, o czem świadczyło, iż spowiednik miał zwyczaj, spotykając go w ogrodzie przy robotach najcięższych — zdejmować na powitanie kapelusz. Dziwiło to braci, lecz im odpowiadał pobożno: „Tyle przynajmniej należy się nieszczęśliwemu niememu“.

Wreszcie zachorował Bolesław w Ossjaku, zachorował ciężko i od pierwszej chwili przeczuwał, że zbliżają się jego ostatnie godziny. Wobec tego postanowił podzielić się ze swą tajemnicą z mnichami. Choroba właśnie przybrała charakter niebezpieczny, gdy Bolesław do czuwającego przy nim nocą zakonnika zwróciwszy się niespodziewanie z posłania swego, odezwał się głośno, przemówiwszy dopiero po raz pierwszy od czasu pobytu swego w murach klasztoru. Prosił go mianowicie, by przywołał przeora i następnie sam z nim powrócił do łoża chorego.

Pospieszył opat co żywo do umierającego, domyślając się czegoś ważnego. Chory poprosił, by



Grób króla Bolesława Smiałego, zabójcy św. Stanisława: Obecny opiekun polskich pamiątek w kościele starożytnego klasztoru OO. Benedyktynów w Ossjaku w Karyntyi, ks. proboszcz Wawrzyniec Franta.

obaj mnisi usiedli przy nim i jął im opowiadać dzieje swego żywota, wyjawiając kim był, jak się zwał i jakiego czynu dokonał, za który wśród nich właśnie pokutował.

Na dowód, że prawdę mówi, za króla się podając, zdjął zawieszony na szyi na sznurze pierścień wielki z królewską pieczęcią i wręczył go opatowi. Poczem przyjąwszy ostatni Sakrament, wyrzekł: „Cel swój teraz osiągnąłem... Jutro umrę... A chwila mojej śmierci przypadnie w ten sam dzień roku, w jaki z mej ręki padł biskup Stanisław.... Niech będzie Pan Bóg pochwalony, albowiem święty męczennik już się ze mną pojednał... Widziałem go dziś przez sen.... uśmiechał się do mnie łagodnie i skinął mi ręką w stronę swej ojczyzny...“

Nazajutrz istotnie umarł Bolesław otoczony modlącymi się mnichami. A stało się to 8 maja 1089.

Ciało króla-pokutnika pochowali OO. Benedyktyni w szatach pielgrzymich, a spoczęło ono w grobowcu nie wewnątrz kościoła klasztornego i nie na cmentarzu, lecz w murze kościelnym, ku cmentarzowi zwróconym, jak to widać na naszej rycinie, według fotografii, wyobrażającej grób króla Bolesława Śmiałego w stanie obecnym na zewnątrz.

Sam grób jest cztery stopy głęboki, przykryty kamieniem i cegłami, z niszą. Nazewnątrz kościoła jest na cmentarzu klasztornym wzniesiony przy wspomnianej niszy grobowej pomnik. Tworzy go kamień grobowy wmurowany prostopadle do grobu. Na nim jest wyobrażenie osiodłanego rumaka bez jeźdźca (przypatrzywszy się bliżej naszej fotografii, można z poza sztachetów rozróżnić konia wyraźnie). Na krawędziach głazu dużemi głoskami łacińskiemi wypisano słowa: „Bolesław, król Polski — morderca biskupa krakowskiego, św. Stanisława“. Powyżej kamienia jest zagłębienie w murze, a w niem nowy obraz, pod którym widnieje napis łaciński: „Boleslaus Rex Anno MLXXXIX“. Sam obraz wyobraża w środku króla Bolesława w zbroi, a po bokach szereg scen następujących: św. Stanisław modli się za swoich zabójców; biskup przed królem, napominając go; król zabija go przy mszy św. przed ołtarzem; król jako niemy pokutnik w Ossjaku zanosi drzewo do kuchni klasztornej; chwila, gdy na łożu śmiertelnem wręcza mnichom



Grób króla Bolesława Śmiałego, zabójcy św. Stanisława: Widok starożytnej „wieży głodowej“ na cmentarzu klasztornym w Ossjaku w Karyntyi, gdzie jako pokutnik spędził ostatnie lata przed śmiercią król polski Bolesław II.

pierścień królewski; wreszcie pogrzeb króla-pielgrzyma. Pod tymi obrazami znajdują się podpisy łacińskie tej treści: „Zamordował — znajdował się na drodze do Rzymu — upodobał sobie Ossjak — niepoznany posługiwał — poznany zamknął powieki skruszony — Ossjak pojednał Ciebie, Stanisławie, z tyranem, a jego ułagodził i zawiódł w niebiosa“.

Placyk przed pomnikiem grobowym jest wybrukowany płytami kamiennemi, przykryty daszkiem ochronnym i obwiedziony sztachetkami żelaznemi w kształcie pik i dzid z poprzecznym napisem łacińskim, czytelnym na naszej fotografii: „Sarmatis peregrinantibus salus“. (Sarmatom podróżującym pozdrowienie!)

Obok grobowca naszego króla, dajemy z Ossjaku drugą fotografią, przedstawiającą charakterystyczny fragment cmentarza klasztornego; w narożniku murów widać tu t. zw. „wieżę głodową“, jedną z historycznych osobliwości Ossjaku.

W r. 1839 otwarto grobowiec Bolesława Śmiałego w obec władz przybyłych z Celowca. Wewnątrz grobu znaleziono szczątki tylnej części ciała, wielce już nadpsute, kości ramion i nóg, gwoździe, którymi zabito trumnę, oraz metalową agrafę, która pod szyją spinała suknię pielgrzymią. Wszystko przed powtórnem zamknięciem grobu włożono na swoje miejsce, z wyjątkiem owej agrafy, którą wpięto w dokument, opisujący akt otwarcia mogiły, podpisany przez obecnych i złożono go w przechowanie w urzędzie parafialnym.

W ostatnich czasach grobowiec króla Bolesława Śmiałego, także Szczodrym lub Wspaniałym zwanego, w Ossjaku odwiedzają często podróżujący po Karyntyi Polacy, interesując się pamiątkami po swoim królu, pozostałymi na obcej ziemi. W skarbcu klasztornym oglądano do niedawna ów pierścień Bolesława Śmiałego, OO. Benedyktynom przed zgonem wręczony — ale pewnego razu w niewytłómaczony sposób zabytek ten zginął.

Klasztor w Ossjaku na pamiątkę „niemego pokutnika“ utrzymuje stale w swych murach do 12 głuchoniemych, których kształci na książkach specyalnych.

W dawnym klasztorze i kościele miejscowym jest wiele rzeczy godnych widzenia, a obecny piękny stan grobowca naszego króla i pamiątek po nim w Ossjaku zawdzięczamy zacnemu proboszczowi dzisiejszemu. Jest nim ks. Wawrzyniec Franta, którego portret załączamy tutaj. Gorliwie stara się on rozpowszechniać wśród podróżnych wiadomości o polskich pamiątkach w Ossjaku, które pozostają pod jego opieką.

Nowi laureaci Nobla.

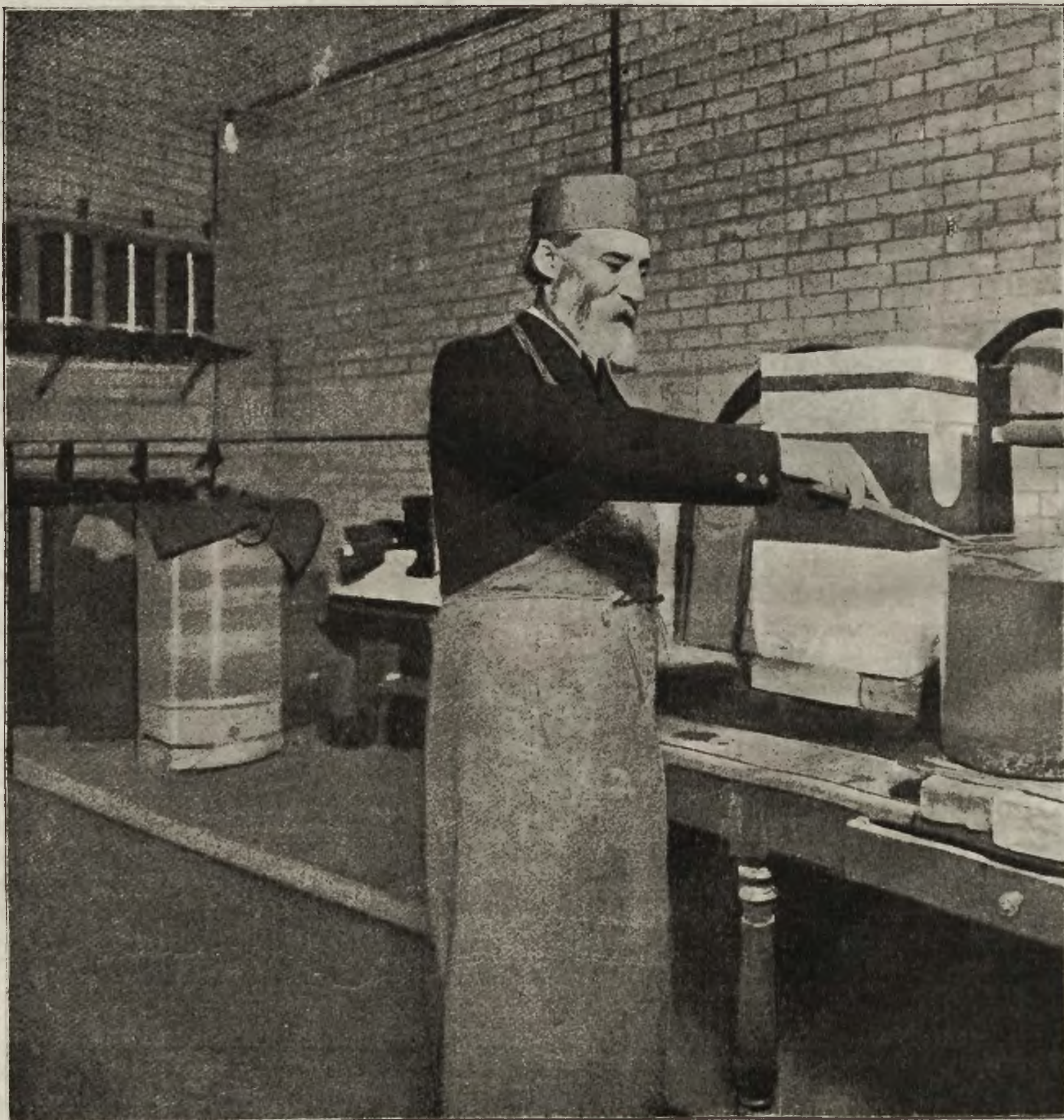
W Sztokholmie odbyła się doroczna uroczystość rozdawnictwa nagród z fundacyi imienia Nobla, przyznanych w tym roku poecie włoskiemu Józefowi Carducciemu w dziale literatury, a w dziedzinie nauki profesorowi fizyki w Cambridge Thomsonowi, prof. Moissanowi z Paryża, dr. Ramonowi Cajalowi z Madryta oraz dr. Kamilowi Golgiemu z Pawii. Na uroczystość do Sztokholmu przybyli wszyscy laureaci, z wyjątkiem sędziwego Carducciego, którego portret z sylwetką z okazyi przyznania mu nagrody Nobla, zamieściliśmy już w poprzednim numerze. Dziś dajemy portrety innych laureatów.

Józef Thomson, laureat w dziedzinie fizyki ma obecnie lat 50, od 1884 jest profesorem fizyki doświadczalnej w uniwersytecie w Cambridge i prezesem miejscowego Towarzystwa przyrodniczego. Wiedza zawdzięcza mu nader cenne zdobycze w zakresie elektryczności i magnetyzmu. Zwłaszcza teorya elektronów jest ulubionym tematem prac jego. Elektronami wiedza nowoczesna nazywa maleńkie cząsteczki materyalne, które należy uważać za właściwe elementy elektryczności. Ważna bardzo jest rola elektronów w atmosferze, one to wywołują powstawanie elektryczności powietrza. W ostatnich czasach wielu zwolenników zyskała teorya, że elektrony w atmosferze nietylko wywołują burze elektryczne, ale wogóle wywierają wpływ ogromny na stany meteorologiczne. W badaniach nad tą właśnie tak zwaną ozonizacyą powietrza stoi Thomson na czele uczonych, pracujących w tym kierunku.

Drugi laureat, Henryk Moissan, profesor chemii w Sorbonie ma obecnie lat 54. Jest uczniem Bertheleta, w r. 1879 został kierownikiem wykładów i ćwiczeń chemicznych w szkole farmaceutycznej w Paryżu, w 1886 roku mianowano go profesorem toksykologii w wyższej szkole farmaceutycznej, w r. 1891 został następcą Cahoursa w akademii nauk. W świecie naukowym zdobył Moissan wielki rozgłos pracami nad fluorem; był on pierwszym, który zdołał wydzielić ten pierwiastek przy pomocy elektrolizy. W kołach laików Moissan zawdzięcza sławę głównie próbom sztucznego tworzenia drogich kamieni. Usiłowania te dały pomyślne wyniki Moissanowi udało się najpierw rozpuścić węgiel w płynnem żelazie. Aby uzyskać wielkie ciśnienie, potrzebne do skrystalizowania się dyamentów, oziębia Moissan nagle rozpaloną masę, wrzucając ją do zimnej wody. Wskutek tego masa płynna kurczy się gwałtownie, wytwarza wielki nacisk na cząstki wewnętrzne, w środku bryły powstają maleńkie dyamenciki, które pod żadnym względem nie różnią się od naturalnych. Moissan zajmował się również sztucznem wytwarzaniem innych drogich kamieni z równie pomyślnym skutkiem.

Za prace w zakresie medycyny nagrodzono w tym roku Włocha Kamila Golgiego i Hiszpana Sylvia Ramon y Cajala.

Camillo Golgi urodzony w 1843 w Corteno, słynny ze studyów nad anatomią mózgu, profesor



Nowi laureaci Nobla: Znakomity fizyk francuski Henryk Moissan (przy pracy w swojem laboratoryum), który w tym roku dostał nagrodę z fundacyi Nobla.

patologii ogólnej i histologii, jakoteż wieloletni rektor uniwersytetu w Pawii, jest twórcą nowej metody badań systemu nerwowego. Metodę, zwaną od twórcy metodą Golgiego, zastosował obecny laureat, Sylvio Ramon y Cajal, profesor uniwersytetu



Fot. B. Lieberman w Drohobyczu.
Ksiądz-wiceburmistrz: Zmarły w 58 r. życia zasłużony wiceburmistrz miasta Drohobycza, śp. ks. kanonik Michał Serwacki.

w Madrycie, do badania studyów rozwojowych systemu nerwowego. To zastosowanie metody Golgiego okazało się bardzo ważnem rozszerzeniem zastosowania tej metody — i dlatego to obaj badacze otrzymali równocześnie nagrodę Nobla w dziale medycyny. Metodą Golgiego wykonane prace przyczyniły się bardzo do rozjaśnienia zawiłej budowy rdzenia mózgu. Dzięki tej metodzie, dopiero padło więcej światła w tę ciemną przez wieki część anatomii. Na podstawie prac metodą Golgiego wykonanych, powstało pojęcie niezależnej jednostki budowy systemu nerwowego, zwanej „neuronem". Pojęcie neuronu posłużyło do rozwiązania szeregu zasadniczych zagadnień z zakresu nauki o czynnościach systemu nerwowego, stało się też podstawą bardzo ciekawych hypotez, dążących do wytłomaczenia niektórych objawów psychicznych (np. znużenia) zmianami anatomicznemi w systemie nerwowym dającemi się wykazać. W tych badaniach Golgi i Cajal brali i biorą nieustanny udział, zdobywając ciągle jeszcze nowe fakty naukowe.

Prócz nagród powyższych, istnieje jeszcze z funduszu im. Nobla nagroda za najskuteczniejsze propagowanie idei pokoju powszechnego. Nagrodą tą rozporządza komisya Storthingu norweskiego. W roku bieżącym przyznano tę „nagrodę pokojową" prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Teodor Roosevelt, syn zamożnego kupca porcelany, urodził się w 1856 w Nowym Jorku. Po ukończeniu uniwersytetu w Harvardzie, rozpoczął działalność na polu politycznem, nie miał jednak powodzenia, wobec czego przeniósł się na daleki Zachód, gdzie zajął się hodowlą bydła stepowego. Po latach kilkunastu wraca do Nowego Jorku i staje w szeregach stronnictwa republikańskiego. Niebawem obejmuje stanowisko dyrektora policyi nowojorskiej, a w 1896 pomocnika sekretarza marynarki. Podczas wojny z Hiszpanią utworzył pułk „dzikich jeźdźców" z pastuchów stepowych. Po wojnie wybrano go na gubernatora stanu Nowego Jorku, a w 1900 na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. W następnym roku skutkiem zamordowania prezydenta Mac Kinleya przez Czołgosza, powołano go na opróżniony najwyższy urząd republikański. Odtąd stoi Roosevelt na czele Stanów Zjednoczonych, bo w 1904 wybrano go powtórnie prezydentem. Na tem stanowisku daje on dowody wielkiej energii, odwagi, tudzież indywidualności. Działalnością swoją przyczynił się wiele do zakończenia wojny japońsko-rosyjskiej. Roosevelt ogłosił drukiem wiele prac politycznych.

Ksiądz — wiceburmistrz.

Nie widział jeszcze Drohobycz takiego pogrzebu, jaki wyprawiło miasto przed tygodniem swemu wiceburmistrzowi, a ukochanemu kanonikowi łacińskiemu, śp. ks. Michałowi Serwackiemu. Zamieszczamy dziś ostatnią podobiznę zmarłego duszpasterza, którego nietylko uwielbiali jego parafianie, ale kochali w Drohobyczu także Rusini, a nawet żydzi. Dowodem tej sympatyi powszechnej i czci, jakiej w mieście zażywał nieboszczyk, był tłumny udział mieszkańców wszelkich sfer w pogrzebie.

Zmarły w 58 roku życia śp. ks. kanonik Serwacki położył też dla miasta Drohobycza znaczne zasługi. Jemu to zawdzięczać należy restauracyę pamiątkowego kościoła miejscowego, który istnieje od r. 1395, a ufundowany został przez króla Władysława Jagiełłę. Starożytna ta świątynia polska była już niezwykle zniszczoną; ks. Serwacki użył wszystkich sił, żeby módz przystąpić do odnowienia kościoła. Od półtora roku restauracya pod kierunkiem inżyniera Jelonka robi znaczne postępy.

Skarbiec na Wawelu.

Mieszczący się w zakrystyi katedry królewskiej na Wawelu Skarbiec, zachował dotąd, pomimo rabunków, jakie go po kilkakroć dotknęły, tyle jeszcze niezwykle cennych przedmiotów, że należy bądź co bądź do najbogatszych na polskiej ziemi.

Tyle tam zresztą drogich sercom naszym pamiątek narodowych z minionych wieków, że ka-



Nowi laureaci Nobla: Znakomity chemik angielski, prof. William Thomson (lord Kelvin), który w tym roku otrzymał nagrodę z fundacyi Nobla.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr". W. Lis w Krakowie.
Skarbiec na Wawelu: Jedna z szaf w skarbcu katedralnym na Wawelu zawierająca drogocenne pamiątki patryotyczne, rozmieszczone na tle płaszcza koronacyjnego ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta, między innymi miecz starożytny, długo uważany za słynny „szczerbiec".

żdy z rodaków, zwiedzając Kraków, po obejrzeniu Wawelu i jego podziemi z grobami królów i bohaterów polskich, pragnie przedewszystkiem ujrzeć skarbiec katedralny. Ponieważ „Now. Illustrowane“ dostają się poza Krakowem, w ręce mnóstwa ziomków tej właśnie kategoryi, której trudno lub nawet nie sposób odbyć chociażby raz w życiu, pielgrzymkę patryotyczną do podwawelskiego grodu, przeto staramy się wynagrodzić im to przy każdej sposobności, zapoznając ich po kolei ze wszystkimi ważniejszymi, w jakie Kraków obfituje, pamiątkami narodowymi — przynajmniej za pomocą dobrych fotografij w wyraźnej reprodukcyi. I tak niedawno zamieściliśmy, z okazyi Dni Zadusznych, szereg dobrych rycin z Wawelu, jak groby królewskie, między tymi sarkofagi Kościuszki i księcia Józefa, kryptę Mickiewicza, oraz grób św. Stanisława i potężny dzwon Zygmunta. Dziś z kolei numer świąteczny przyozdobiamy dwoma zdjęciami specyalnemi z bogatego Skarbca wawelskiego, który w ostatnich czasach odnowiono wspaniale, przyoblekając sklepienie malowidłami prof. Mehoffera i zaprowadzając nader praktycznie urządzone oświetlenie elektryczne, nawet wewnątrz szaf oszklonych, a dzięki temu zwiedzający mogą dziś łatwo dojrzeć nader cenne szczegóły, dawniej nie dość widoczne.



Nowi laureaci Nobla: Profesor patologii w Pawji, sławny lekarz włoski, dr. Kamil Golgi, odznaczony połową nagrody medycyny do spółki z prof. Cavalem.

Z mnóstwa kosztownych przedmiotów, zamkniętych w Skarbcu w kilku sporych gablotach oszklonych, należy z widocznych na naszych fotografiach wymienić na pierwszem miejscu relikwiarz złoty na głowę św. Stanisława, dar z r. 1504 królowej Elżbiety „matki królów“; dalej relikwiarz na głowę św. Floryana, również gotycki, jak poprzedni, lecz wcześniejszy, dar królowej Zofii, czwartej żony króla Jagiełły. Niemniej ciekawy jest relikwiarz pochodzenia wschodniego, pamiątka po księciu Henryku Sandomierskim, który brał udział w drugiej wyprawie krzyżowej w r. 1154, oraz relikwiarz św. Zygmunta, podobno roboty Zygmuntu III. Starożytnem pochodzeniem imponują dalej takie pamiatki, jak np. infuła św. Stanisława, pochodząca z XIII wieku, infuła biskupa Strzempińskiego z XV wieku, a także infuła biskupa Lipskiego z XVII w. Jednym z najstarszych zabytków jest szklany kielich, którego używać miała św. Jadwiga, księżna Szląska, a jednym z najbardziej artystycznych — kielich szczerozłoty z emaliowanymi cherubinami, wyrób króla Zygmunta III. Bogato i artystycznie są wykonane w XVII wieku monstrancye biskupów Głębickiego i Oborskiego, podobnie jak ornaty z bogatymi haftami: Piotra Kmity (początek XVI w., sceny z życia św. Stanisława) i biskupa Lipskiego (wiek XVII). Nie ustępują im: arcybiskupi paliusz czyli racyonał roboty królowej Jadwigi, przerobiony w wieku XVI, oraz kapa koronacyjna królowej Eleonory z XVII wieku. Jest tu dalej spinka bronzowa, wydobyta z grobu króla Bolesława Śmiałego w Ossjaku w Karyntyi, tudzież starożytny pierścień należący do św. biskupa Stanisława; jest włócznia św. Maurycego, darowana przez cesarza Ottona królowi Bolesławowi Chrobremu i buńczuk na Turkach zdobyty pod Wiedniem w r. 1683; „róża złota“ ofiarowana przez papieża Klemensa XII. Maryi Józefie, żonie króla Augusta III; słynny miecz, niegdyś mylnie uważany za „Szczerbiec“ króla Chrobrego; jest płaszcz koronacyjny ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta; są pamiątki z obozu Kościuszki, jak ornat, w którym kapelan mszę polową odprawiał przed bitwą pod Racławicami i td. i td.



Nowi laureaci Nobla: Profesor histyologii w Madrycie, sławny lekarz hiszpański dr. Santagio Ramony Cayal, odznaczony połową nagrody medycyny do spółki z prof. Golgim.

Większość tych przedmiotów uważny Czytelnik dostrzeże na obu naszych rycinach.



Fot. umyślnie, dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Skarbiec na Wawelu: Wielka szafa w skarbcu katedralnym na Wawelu, zawierająca najkosztowniejsze zabytki kościelne, między nimi niesłychanie cenne relikwiarze.

„Rozpędzę tę bandę!"

Pomimo ostrzeżeń cesarza Wilhelma. poczynają się w Niemczech mnożyć t. zw. „Schwarzseherzy“, którzy w sejmie Rzeszy nabrali już takiej siły, iż nie wahali się nazwać dosadnie, po imieniu — polityki pruskiej w Afryce, a co więcej, ośmielili się odmówić kredytu dodatkowego na ryzykowne, a nie przynoszące pożytku wojny z murzynami. Co prawda, nie szło tu o bagatelkę, bo aż o 30 milionów marek; ale tu właśnie rolę grała nie suma, a raczej zasada, że rząd który lekceważy sobie parlament, nie może liczyć na poparcie jego w kwestyi pieniężnej i to jeszcze na zgoła utopijne cele, jakimi są usiłowania kolonizacyi Niemcami Afryki.

Tym razem nieuchwalenie kredytu rządowi spowodowało centrum, które już w poprzedniej seryi dało wyraz swemu niezadowoleniu z rządowej polityki kolonizacyjnej. Obecnie zaostrzył sprawę spór Dernburga, dyrektora kolonij, z centrowym posłem Roebrenem. Bülow sądził, że pewnie uda mu się doprowadzić do jakiego kompromisu stronnictw i uzyskać większość dla wniosku rządowego. Zdaje się jednak, że sam nie łudził się co do skuteczności swoich starań, bo jak się okazało — miał w zanadrzu dekret cesarski, rozwiązujący parlament zaraz po odrzuceniu wniosku o kredyt dodatkowy.

W Niemczech wywołało niespodziewane poniekąd rozwiązanie parlamentu — zdziwienie, ale opinia świata cywilizowanego zastanawia się najbardziej nad tą okolicznością, że cesarz Wilhelm pozwolił sobie podczas ostatnich dni obrad Sejmu Rzeszy słać do kanclerza depeszę po depeszy tej treści, jak np.: „Rozpędzę całą tę bandę do stu dyabłów“!“ Z tem nie może pogodzić się cywilizowana Europa, iż monarcha, w państwie bądź co bądź konstytucyjnem, śmie lżyć parlament, najwyższe ciało prawodawcze, zgromadzenie zastępców i przedstawicieli narodów... Niestety wszakże można już było przyzwyczaić się, że po Wilhelmie II. należy spodziewać się wszystkiego. Dla dzisiejszego króla pruskiego rozpędzić Sejm Rzeszy niemieckiej — toć to bagatelka; wszakże Wilhelm gadatliwy rządziłby w Niemczech jak najchętniej bez parlamentu...

* * *

Czy rząd niemiecki zyska co na rozwiązaniu „Reichstagu“, to jeszcze wątpliwe. Uprzytomnijmy sobie, jaki jest obecny skład parlamentu niemieckiego. Na centrum przypada 105, na stronnictwo socyalistyczne 78, na obie grupy wolnomyślne przeszło 40, na Polaków 16, Alzatczyków 10, na innych „wrogów państwa“ około 10 mandatów, podczas gdy stronnictwa oddane zupełnie rządowi, tj. dwa konserwatywne i narodowo - liberalne, rozporządzają zaledwie 120 do 140 mandatami, stanowią więc tylko trzecią część ogólnej liczby posłów. Przy nowych wyborach zapewne nawet rząd nie spodziewa się zmniejszenia się liczby posłów socyalistycznych. Co się zaś tyczy centrum, to i ono zdobędzie niezawodnie taką samą ilość mandatów na następną sesyę, jaką posiada obecnie. Ofiarą mogłyby paść może tylko częściowo stronnictwa wolnomyślne, lecz nawet gdyby to nastąpiło i gdyby część dzierżonych przez te grupy mandatów przypadła w udziale stronnictwom narodowo-liberalnemu lub konserwatywnemu, rząd jeszcze by nie uzyskał większości w parlamencie.

Nas najbardziej obchodzi to tylko, czy na dobre wyszłyby nowe wybory Polakom. Na to zapatruje się prasa polska dość optymistycznie, zwracając uwagę, że teraz, w porze zimowej, nowe wybory do Reichstagu byłyby bardzo na rękę dla ludności polskiej. Obecność polskich robotników w ich



„Rozpędzę tę bandę!“: Rozwiązanie przez cesarza Wilhelma II. parlamentu niemieckiego: widok gmachu „Reichstagu“ (Sejmu Rzeszy) w Berlinie: przed głównem wejściem pomnik Bismarka.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr“. W. Lis w Krakowie.

Ruch przedświąteczny: W urzędzie pocztowym na dworcu kolejowym w Krakowie, ekspedycya gazet w wieczornej porze, w czasie wzmożonego ruchu przed Bożem Narodzeniem: wśród urzędników dopilnowuje ekspedycyi osobiście naczelnik urzędu p. Korytowski. (X)

okolicach rodzinnych, dawałaby możność przeprowadzenia posłów polskich w kilku okręgach zachodnio-pruskich, a nie ulega wątpliwości, że i na Szląsku możebnem by było dokończenie politycznego obrachunku ze stronnictwem centrum i zdobycie kilku nowych mandatów — jak zapewniają znawcy stosunków. Wobec tego Koło polskie w parlamencie niemieckim mogłoby powrócić do Berlina conajmniej w sile 20 członków.

Nie wiadomo zresztą, co nam przyszłość najbliższa okaże. Jakkolwiek wypadną nowe wybory, to jednak niewątpliwie pewnem pozostanie, że rząd choć odniósł chwilowo nad parlamentem zwycięstwo, poniósł przecież porażkę wielką, mogącą mieć nieobliczone na przyszłość następstwa.



Fot. aparatem redakcyjnym. „Now. Ill.“ W. Lis w Krakowie.

Ruch przedświąteczny: W urzędzie pocztowym na dworcu kolejowym w Krakowie, ekspedycya listów amerykańskich (tu właśnie odbywały się słynne malwersacye bar. Gostkowskiego, który za to stawał świeżo przed sądem).



Szach perski umiera: Ciężko i niebezpiecznie chory „król królów“ Muzaffer-ed-Din.

Wielki głód w Rosyi.

Do Petersburga powrócił książę Lwow z długiego objazdu okolic nawiedzonych głodem. Daje on opis straszliwy tego, co widział w różnych guberniach Rosyi. Oświadcza książę, iż podczas, kiedy rząd głosi, że się zajmuje ankietą w sprawie oszustw popełnionych przez domy handlowe, użyte przez ministerstwo spraw wewnętrznych do dostarczania żywności okolicom cierpiącym ostatnią nędzę — ludność tych okolic właśnie i innych wogóle, jest pozbawioną najkonieczniejszych potrzeb i wystawioną na straszne wprost męczarnie. Nie ma tu mowy o głodowej śmierci w zwykłem tylko znaczeniu ekonomicznem; lud wymiera faktycznie. Żyje on z dnia na dzień bez najmniejszej nadziei utrzymania się przy życiu do wiosny. Żniwa zawiodły całkowicie; na olbrzymich obszarach nie ma ani żywności dla ludzi ani obroków dla bydła. Na przestrzeni przeszło tysiąca wiorst widział książe Lwow tylko w jedenastu wsiach po kilku chłopów, którzy mieli jeszcze mały zapas zboża, chowany od lat pięciu do dziesięciu. Bydło i konie sprzedają się za bezcen. Konie oceniają się według wartości skóry, po 7 rubli najwyżej, często mniej; krowy po 9 do 10, a owce po półtora rubla. Stara słoma zdarta ze strzech domowych, sprzedaje się po 3 do 4 rubli za jeden wóz. W niektórych okolicach lud żywi się lada zielskiem lub chodzi tylko do rządowych lasów po dębowe liście, które służą za pokarm i jemu i bydłu zarazem.

Bardzo jest wątpliwem, czy bydło wytrzyma do wiosny. Nie tylko chłopi nie mają już koni, ale niema ich wielu mniejszych właścicieli ziemskich, którzy do niedawna mieli się dobrze. W jednym powiecie znalazł Lwow tylko siedm wsi z wszystkich 33 gdzie do żytniej mąki nie dodawano żołędziowej na wypiek nędznego chleba; w wielu zaś miejscowościach innego chleba, jak żołędziowego, wcale nawet niema. Wygląda taki „chleb“ jak zrobiony z ziemi i mierzwy — a przecież to jest główny pokarm milionów ludzi od września — i niema go dosyć.

* * *

Nie dziw tedy, że biedni ci ludzie mają cerę kredową, skarżą się na ciągłe boleści żołądkowe, padają ofiarami dziwnych chorób, często wymierają skutkiem tych stosunków na tyfus. I to wszystko już w listopadzie, w grudniu... Cóż będzie — pyta ks. Lwow — za sześć, za siedm miesięcy? Pomoc rządowa jest całkiem niewystarczającą i najgorzej zorganizowaną. Nie otrzymują jej zdolni do pracy — a pracy nigdzie niema. W roku 1898 prywatna dobroczynność zmniejszała zło skutecznie, a stacye i magazyny Czerwonego Krzyża istniały prawie w każdej wsi w prowincyach głodem dotkniętych. Dziś tych stacyj nie widać. Rząd centralny nawet zakazał organizować komitety ratunkowe w obawie, aby się nie stały ogniskami rewolucyjnej propagandy.

* * *

Zamieszczamy tu poniżej wymowną rycinę. Jest to fotografia zdjęta przed chatą chłopa rosyjskiego, w okolicach głodem dotkniętych. Cała rodzina złożona z ośmiu osób, bo z dwojga rodziców i sześciorga dzieci drobnych, stoi nad worem zboża, a w nim zaledwie 150 funtów ziarna. To cały majątek tej rodziny, to wszystko, co żniwo dało — i z tego ma się cała ta rodzina wyżywić do nowych zbiorów...



Wielki głód w Rosyi: Włościańska rodzina rosyjska z 8 osób złożona, ma 150 funtów ziarna na wyżywienie się do przyszłego żniwa.

Uznanie dla weteranów pracy.

(Do illustracyi na str. 3).

Uczciwa praca w służbie pocztowej przynosi społeczeństwu pożytek rzetelny.

To też jest rzeczą słuszną wyrazić publiczne uznanie weteranom takiej ciężkiej służby.

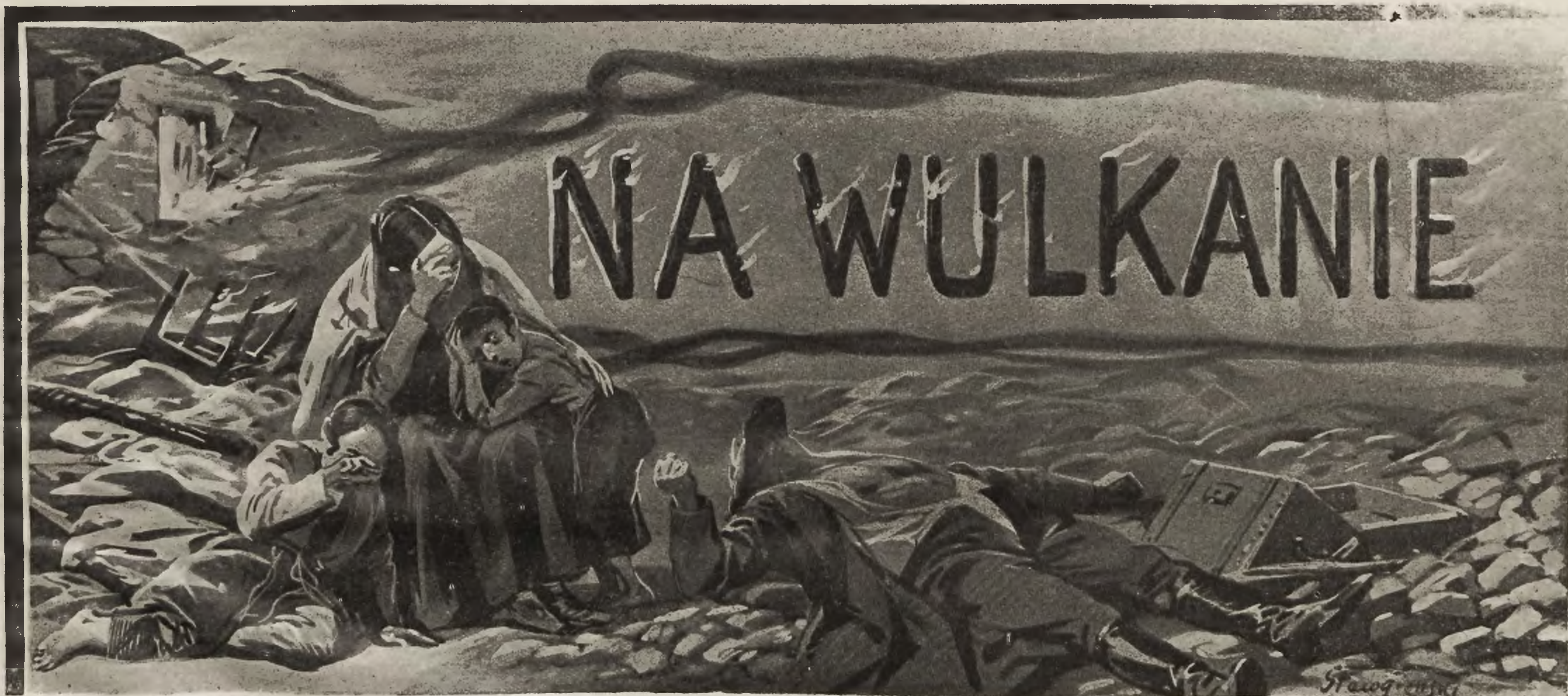
Oto właśnie trzech sędziwych podurzędników pocztowych w Krakowie, przechodzących w stan spoczynku po czterdziestu latach sumiennej służby, spotkała w tych dniach nagroda zasłużona. W sali wykładowej głównego urzędu pocztowego, przystrojonej zielenią, którą otoczono też biust cesarski, odbyło się w sobotę wieczorem uroczyste wręczenie medali za 40 letnią służbę podurzędnikom Aleksandrowi Buczko, Antoniemu Figurze i Grzegorzowi Pachołkowi.

Na tę domową uroczystość pocztową przybyli naczelnicy oddziałów, oraz liczne grono urzędników i podurzędników pocztowych, członkowie stowarzyszenia certyfikatystów i służba krakowskich urzędów pocztowych.

Sam dyrektor Biliński wręczył trzem weteranom medale, przyczem przemówił serdecznie do odznaczonych, podnosząc w pięknych słowach tyloletnią ich służbę, zawsze wytrwałą i sumienną, pożyteczną dla urzędów a tem samem i dla publiczności.

Po uroczystości nasz fotograf redakcyjny dokonał zdjęcia pamiątkowego, które dziś reprodukujemy. Widać tam trzech weteranów pocztowych u boku dyrektora poczt w Krakowie pana Bilińskiego.





Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

2 (Ciąg dalszy)

— Biedna — szepnęła z współczuciem.

— Matka chciała jej posłać bieliznę, obiady... Nie pozwolono, a nawet zagrożono aresztowaniem.

— Alež ona niewinna. nic nie znaleziono i już trzeci tydzień bez śledztwa, to ohydne — oburzała się.

— Czyż oni pytają o winę? Wystarczy cień, jakiś list, bilet.. i

— Dziś w nocy była rewizya u Sama, były nasze proklamacye, zabrano go — odezwał się gospodarz.

— Że też nie zniszczył... on taki ostrożny — zauważył Bal.

— Wpierw zniszczył papiery, które mogłyby dużo złego narobić. i nie starczyło czasu na proklamacye — usprawiedliwiał Sama gospodarz — a u ciebie Wicher cicho?

— Jak przed burzą — uśmiechnął się.

Rozległo się umówione stukanie, po chwili wszedł do pokoju niski, krępy mężczyzna, z twarzą szczerą, uśmiechniętą. z czarnym, krótkim zarostem Oczy jego ciemne, przenikliwe zwracały najpierw uwagę. malowała się w nich siła woli i stanowczość surowa, kłócąca się pozornie z jego łagodną twarzą. Znany był pod nazwiskiem Porwa, a jako inżynier fabryczny, miał wielki mir wśród robotników, którzy go niemal na oślep słuchali.

Przywitał się swobodnie ze zgromadzonymi, a zbliżywszy się do Logiki, rzekł:

— W Żyrardowie była rewizya, ośmiu przywieźli, a na miejscu zatrzymano pięć robotnic towarzyszek.

— Nie wiecie Porwa, czy Marta wzięta? — spytała pospiesznie.

— Marta? — szukał w pamięci, a po chwili dodał — czy ona nie Gwoździkowa?

— Tak jest.

— Za kratą.

— Jadę jutro do Żyrardowa. Macie jakie polecenie?

— Wy nie potrzebujecie zleceń i nauk — uśmiechnął się — od tego wy Logiką.

Na mgnienie oka zabłysły jej oczy z zadowolenia i powiedziała spokojnie:

— Dam wam znać.

— Pojutrze rano czekam.

Odezwał się przeciągły, trzykrotny dzwonek, gospodarz drgnął, spojrzał po gościach, którzy umilkli i z pewnem zaniepokojeniem wpatrywali się w twarz Figury.

— Idźcie do stołowego pokoju — rzekł przyciszonym głosem — siadajcie i bawcie się. Wy, prezydujecie Logiko, jako moja krewna.

Natychmiast przeszli do jadalnego, a gdy Figura posłyszał szczęk noży i widelców, otworzył drzwi do przedpokoju i ostro spytał:

— Kto tam?

— To ja stróż... Piotr.

— Czego?

— Panie Posępski — przemówił ktoś głębokim głosem po rosyjsku — otwórzcie, to ja, Procz z Moskwy.

Gospodarz odsunął zatrzask i do przedpokoju wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, w niezgrabnie leżącym garniturze marynarkowym, a rozjaśniając w uśmiechu wielką swą twarz, przemówił po rosyjsku:

— Czort nie kamienica. Nu, adres wyraźny, chodzę, łażę i ani rusz znaleźć. Aż trafił ot na człowieka i zaprowadził.

— Dobrze. że nie pukaliście przy nim — zrobił uwagę gospodarz.

— Nu, znamy się na tem, stróż dobry człowiek, a ostrożność nie zawadzi, alboż u nas inaczej... A nasi są?

— Wszyscy prócz z Bundu.

— Tak i zaczekać trzeba.

Weszli do pierwszego pokoju, a Procz nie widząc nikogo, spytał:

— A gdzież oni?

Gospodarz otworzył drzwi do jadalnego, a Procz widząc ich przy stole, zaśmiał się głośno:

— Nu, wy bracia towarzysze pięknie zaczynacie. karmicie ciało, to i dusza i rozum sił nabiera. Pozwólcież i mnie — usiadł na krześle — głodnym, jak pies.

Gospodarz podsuwał mu zimne przekąski i herbatę a Wara rzekł z wymówką:

— Spóźniliście się Procz... a gdyby sekunda rozstrzygała...

— Czortaż ja się spóźnił, to winien ten labirynt nie kamienica... a wy Wara nie bójcie się, gdyby szło o bombę, byłbym pierwszy, ręczę wam za to.

W czasie, gdy Procz się posilał, trwała poufna rozmowa. wreszcie Porwa odezwał się:

— Szkoda czasu marnować... Do roboty towarzysze.

Przeszli do pierwszego pokoju i właśnie Wara gotował się do przemówienia, gdy odezwały się umówione pukania do drzwi i po chwili wszedł do pokoju delegat Bundu, Dawid Szulkin, zwany w partyi Jonaszem. Z wielką pewnością siebie skłonił się lekko zgromadzonym, usiadł wygodnie na krześle i ocierając spocone czoło, przemówił po rosyjsku:

— Miałem szpicla na piętach, trzeba było zatrzeć moje kroki, dlatego spóźniłem się. Spodziewam się, że nie zaczęliście sprawy, bo jakże radzić o rewolucyi bezemnie, to jest bez Bundu. Czy nie tak?

— Właśnie zaczynamy. Wara mówcie — zachęcał gospodarz.

Wezwany spokojnem okiem powiódł po zgromadzonych i trąc zwolna ręce oparte o stół, przemówił miarowo:

— Ostatni zjazd naszych delegatów w marcu, uchwalił zasadę wspólnego działania wszystkich partyj socyalistycznych stosownie do wskazówek komitetu centralnego. Tymczasem pewne partye wbrew umowie nie stosowały się ściśle do rozporządzeń komitetu, związek się rozluźnił, a dzisiejsze posiedzenie ma stworzyć nowy kit. pożądany przez wszystkie partye i komitet centralny, albo też określić jasno wzajemny stosunek. Jako delegat komitetu centralnego stawiam żądanie, aby wszystkie trzy partye polskie: socyaldemokraci, polska partya socyalistyczna i Bund zastosowywa się bezwzględnie do rozporządzeń komitetu. W jedności nasza siła i potęga, a zjednoczony rząd despotyczny tylko zjednoczonemi siłami zwalczymy.

Wśród chwilowej ciszy po tem przemówieniu, polscy delegaci spojrzeli na Porwę, który przesunąwszy ręką po czole, zaczął uprzejmym tonem, zwracając się do degatów rosyjskich:

— Wprawdzie dobrze rozumiem wasz język, ale trudno mi się wysłowić, a w tem położeniu jestem nie tylko ja w tem towarzystwie... dlatego pozwólcie mi mówić w moim języku, o ile naturalnie rozumiecie.

— Wybór komitetu padł na mnie — odpowiedział Wara — gdyż znam język polski. Urodziłem się na Litwie, w młodości gadało się po polsku, i jak wy Porwa, rozumieć rozumiem, ale mówić mi ciężko. Co do mnie, proszę. mówcie po polsku.

— Nie obcy mi wasz język — dodał Procz — chociaż w Polsce nie bywałem, ale żyło się z Polakami i człowiek się poduczył. Tak, mówcie wy po polsku, a ja po rosyjsku. na jedno wyjdzie.

Już Porwa gotował się do przemówienia, gdy Jonasz, przedstawiciel Bundu, siedzący trochę w cieniu odezwał się po rosyjsku:

— Jeśli idzie o zasadę sprzeciwiam się prowadzeniu dyskusyi po polsku, bo w takim razie każdy z nas musiałby umieć po litewsku, żmudzku, fińsku, tatarsku i co byłoby z tego? — uśmiechnął się złośliwie.

— Ależ towarzyszu, liczmy się z tem co jest, a nie co byłoby było — powiedziała Logika.

— O ile rozumiem, a rozumiem bardzo nie wiele, towarzyszka oponuje. Jeśli wy chcecie po polsku... ja chcę po żydowsku... my mamy jeśli nie większe prawa, to równe z Polakami, bo my mamy siłę, bo nas jest tysiące.

— Towarzyszu — zwrócił się do Jonasza gospodarz — nie wszczynajcie sporów, szkoda czasu.

— Idzie o zasadę — upierał się — wam Polakom zawsze zachciewa się przywilejów. Dyskusya powinna być po rosyjsku, bo to język panujący.

— Ot puste gadanie — zawołał zniecierpliwiony Procz — wy mówcie po polsku, a my po rosyjsku, już my się zrozumiemy... a chce towarzysz z Bundu objaśniać nas po żydowsku... ano niech gada do woli.

Na twarzach zjawił się uśmiech, a Jonasz przysunąwszy się do stołu, zaczął bębnić lekko palcami i rzekł:

— Wy, towarzyszu Procz. żartobliwy człowiek, tu chodzi o zasadę. Ja z Białostoku, i ja rozumiem po polsku, ale jak równość, to równość; no i dlaczego im wolno mówić po polsku, a innym nie wolno po swojemu? Czy to równość?

— Głupstwo! — zaśmiał się Procz — teraz nie o to idzie. Do roboty towarzysze. Mówcie Porwa.

— Towarzysz Wara wspomniał o rozluźnieniu organizacyi, nastąpiło to nie z naszej winy. Kresy państwa są w nieustannym ogniu, a samo centrum milczy. Nie wchodzę w to, czy taka taktyka jest dobra czy zła, ale co do Polski muszę zaznaczyć że nasze siły wyczerpują się, mnóstwo ludzi uby

wa, bo uwięzienia, wysyłki, kary śmierci są codziennym chlebem, a nowi nie garną się do nas; brakuje też nam środków pieniężnych, bo zapał dla sprawy socyalistycznej gaśnie. Dziś trzeba nam nowych haseł, jeśli mamy obudzić ruch w kraju. Zniesienie ustroju kapitalistycznego, własności prywatnej, oddania ziemi wszystkim, a warstatów robotnikom, co przeprowadzi przyszła konstytuanta Rosyi, nie poruszy u nas masy. To ideały niepochwytne dla tłumów, my musimy mieć coś realnego.

— O cóż wam idzie? — spytał Wara.

— My, Polacy, jesteśmy odrębnym organizmem, wcielonym przemocą do Rosyi, i my tę odrębność chcemy zachować. Inna kultura, inna cywilizacya, inne drogi dziejowe, to nas różni, a łączy pragnienie wolności i zniszczenie despotyzmu. Jeśli komitet ogłosi, że poza ogólną formą państwową, nie naruszy naszej odrębności i tylko my sami będziemy decydowali o naszych stosunkach społeczno ekonomicznych, partya nasza oddaje się kierownictwu komitetu.

— Czy to nie separatyzm? — zaśmiał się Jonasz — wy chcecie szlacheckiej Polski, chcecie ciemiężyć robotnika i chłopa, stanowić wyjątkowe prawa dla żydów... Czy nie tak?

Wara, nie zwracając uwagi na Jonasza, mówił spokojnie:

— Poruszyliście Porwa sprawę zasadniczą, chcecie zmiany taktyki, a to nie możliwe. Jeśli głosimy wolność, to dla wszystkich jednakową, czy to Rosyanin, Polak, Fin, Mordwin czy inny. Jedna tylko jest wolność i jeden ustrój socyalistyczny, który może się tu i owdzie opóźnić, ale tylko opóźnić, nie wyodrębnić. Co do mnie odrzucam wasz wniosek, a wy Procz?

— Ot dziwno mi, aby taki towarzysz jak Porwa nie rozumiał abecadła naszego. Toż bracie wolność, i cóż ona znaczy? Ustrój kapitalistyczny zły, to precz nim; biurokracya zła, precz z nią; mierzi cię religia, precz z nią; chcesz być Polakiem, to i dobrze; a nie chcesz, niech i tak będzie, to precz z narodowością.. A ty towarzyszu, w naszem państwie przyszłem chcesz być zadrą w żywem ciele i ono ma ropieć przez ciebie? Nie, to nie uchodzi! Mówisz ludzi nam brak, szukajcie a znajdziecie; i pieniędzy wam brak, a od czegóż rządowe kasy? Ach, jacy wy niezaradni! Ty bracie nas posłuchaj, poddaj się komitetowi, już on wie co robi, a gdy on da znak i zacznie się robota, zobaczysz, jaki grzmot wstrząśnie Rosyą od Cichego oceanu aż po Niemcy, od Północnego bieguna po Śródziemne morze, jeszcze żaden wulkan na świecie nie zagrzmiał tak, jak nasza rewolucya.

Procz z twarzą rozjaśnioną, z błyszczącemi zapałem oczyma, ze swemi szerokiemi ruchami rąk, był w tej chwili mimo pospolitości rysów piękny. i umiał porwać słuchaczy.

Koła i gospodarz, którzy należeli do socyalnych demokratów, wyrazili swą zgodność z delegatami rosyjskimi, a Jonasz patrząc drwiąco na Porwę rzekł:

— Otóż taką jest Polska, ona zawsze osobno, zawsze uprzywilejowana, zawsze niezgodna. Wy, nie rozumiecie Polacy, co to wolność, wy chcecie panować, no, już się z tem skończy. Bund zgadza się z delegatem komitetu, ale to zastrzeżenie musi być umieszczone, że my żydzi mamy pełne prawo do używania naszego języka, że my mamy nasze szkoły, naszą religię, że sprawy naszego wyznania, my sami rozstrzygamy. Jeśli delegat w imieniu komitetu przyjmie ten warunek na przyszłość, a komitet się zobowiąże, że w razie pogromów będzie nas bronił i nam pomagał, to Bund idzie pod rozkazy komitetu. Czy moje warunki są ciężkie? Czy nie są słuszne? Czy ja mówię o prawach historycznych? Czy chcę odrębności?

Na twarzy Wary zjawił się ledwie dostrzegalny uśmiech przy słuchaniu delegata Bundu, lecz w tejże chwili spoważniał i odpowiedział:

— W sprawie pomocy i obrony przy możliwych pogromach, jestem upoważniony upewnić was, że komitet będzie was bronił i wam pomagał. Co zaś do praw języka i wiary, komitet centralny przyrzeka poparcie, ale nie może decydować o szczegółach Z chwilą ogłoszenia swobody osobistej i wyznaniowej, tem samem wy rozstrzygacie sami w tych sprawach.

— Ja przyjmuję waszą warunkową zgodę — powiedział Jonasz z odcieniem goryczy — bo nie chcę rozłamu, ale i wy przyjmijcie nasz warunek, że socyalni demokraci poprą Bund, gdy tego zażąda i niema uchwały bez delegata Bundu. Czy to wiele?

— Do wzajemnej pomocy jesteśmy obowiązani, tak moralnie, jak i materyalnie. Wasze warunki przyjmuję, ale zobowiązujecie się iść ręka w rękę z komitetem.

— Niech i tak będzie — westchnął Jonasz — my z Bundu zgodni ludzie. Czy nie tak?

— A wy towarzyszu Porwa — zaczął Procz — nie chmurzcie się, otwórzcie wasze serce, toż my swoi, jakoś uładzimy.

Bal spojrzał z pewnem zaniepokojeniem na milczącego Porwę, a towarzyszka głosem równym i dźwięcznym zaczęła:

— Logicznie rzecz biorąc, towarzysze Wara i Procz mają racyę. Zważcie Porwa, że w tej walce nie idzie o szczęście tej lub owej dzielnicy, narodu czy państwa... To walka dwóch ustrojów społecznych. Kapitalistycznego złączonego z despotyzmem i przesądami urodzenia, religii i narodowości, a z drugiej strony ustrój socyalistyczny, dający jak najszerszą swobodę jednostce, zapewniający jej wszechstronny rozwój, usuwający niesprawiedliwość i przesądy. Czy można się wahać w wyborze? Tu słońce, szczęście, spokój, a wy żądacie zatrzymania starych form, przeżytków i narośli chorobliwych. I ja jestem Polką, a gdy mam do wyboru bezmiar światła i wolności, nie mogę zrozumieć, że ktoś chce dobrowolnie zamknąć się w klatce.

— Ot dzielna towarzyszka — zawołał Procz — no, z takiemi dobrze pracować, dobrze i zginąć.

Na wyrazistej twarzy Porwy zjawił się uśmiech wyrozumiałości, gdy przemawiała towarzyszka, widząc jednak drwiące oczy Jonasza na siebie zwrócone, wyprostował się w krześle i rzekł:

— Jeśli sądzicie, że są mi obce marzenia i ideały socyalistyczne, to się mylicie, a pragnąc je w życie wprowadzić, muszę trzymać się rzeczywistości. Komitet centralny, a jeśli chcecie, socyaliści rosyjscy, prowadzą z nami świadomie czy nieświadomie nieszczerą grę.

Mimowolnie wszyscy spojrzeli na Warę, który popatrzył ostro w oczy Porwy i rzekł tonem surowym:

— Na gołosłowne zarzuty nie odpowiadam.

Porwa, nie zwracając uwagi na te słowa, mówił dalej:

— Spytajcie się kogokolwiek z nich, jak wyobraża sobie ów ustrój socyalistyczny, a odpowie, że na obszarze Rosyi siedzą w ładnych chatach chłopi rosyjscy szczęśliwi i dostatni; robotnicy rosyjscy pracują w miarę chęci i potrzeby; biurokracya rosyjska zniknęła; wszędzie są szkoły rosyjskie, kwitnie przemysł i rolnictwo, a wszystko w ramach ducha, języka, ideałów narodu rosyjskiego, jako jedności. I w ten sam szablon chcą wepchnąć drugą jednostkę, naród polski. Ale co pomaga do rozwoju jednej indywidualności, może zabić drugą indywidualność. My mamy inną kulturę, inną cywilizacyę, szliśmy po innych szczeblach rozwoju i nasza indywidualność wymaga innych warunków. dlatego żądam odrębności i prawa rządzenia u siebie.

— No, no, czegóż więcej wam się zachciewa? — zadrwił Jonasz.

— Cała Polska, to jedno więzienie duszne i zatęchłe, o czem wy, w Rosyi, nie macie pojęcia. Język nasz zdeptano i wykluczono z użycia; sądzą i żądzą u nas, jeśli nie wrogi, to obcy; zniksztamują młodzież przez zakłady rusyfikacyjne; nie dopuszczają nas do żadnych urzędów; trwonią majątki publiczne; okradają z pamiątek; duszą każdą myśl, każdy szlachetniejszy poryw...

-- To rząd, nie my! — zawołał Procz.

— Jeśli więc ja, jako socyalista chcę znaleźć oddźwięk w moim narodzie, muszę mu powiedzieć to, czego on pragnie i o co walczy od stu lat: będziecie wolni, samodzielni, sami będziecie się rządzili, sami u stanowicie prawa waszego życia: na waszej ziemi, wy zostaniecie panami. A chcąc ich przekonać o prawdzie słów moich, muszę walkę rozpocząć, tu, na miejscu z rosyjską władzą i jej przedstawicielami. I jako Polak, i jako socyalista radzę wam liczyć się z rzeczywistością, użyć tych haseł, przyjąć je za swoje, poprzeć nas, a wówczas nie tylko nas socyalistów będziecie mieli za sobą ale cały naród.

— Im zawsze zachciewa się Polski — zadrwił Jonasz i spojrzał po zgromadzonych, w nadziei uznania słów swoich, a spotkał się z milczącem niezadowoleniem.

Wara bawiąc się ołówkiem, mówił zwolna a dobitnie:

— My socyaliści idziemy zawsze drogą prawdy, i dążymy równocześnie nie tylko do zmiany rządu, ale i stosunków społecznych. Na równi z wami nienawidzimy rządu i jego przedstawicieli, ale w miejsce usuniętych, nie wprowadzimy innych, bo zmienimy cały ustrój społeczny. Z tego powodu waszej propozycyi, towarzyszu Porwa, przyjąć nie możemy. Nasze sympatye są po waszej stronie, bo nasz wróg wspólny, możemy wam pomagać przygodnie, ale różnica zasad pozostanie.

— Tak, zrozumcie Porwa — zawołał Procz — wy chcecie tylko politycznej wolności, a my wam dajemy wolność szeroką i głęboką, jak morze.

— Ależ towarzysze — rzekł zniecierpliwiony Porwa - jeśli dusi mnie stryczek, to przedewszystkiem chcę się oderwać od stryczka... Jeśli nie mogę oddychać, chcę przedewszystkiem powietrza, a czy kiedyś będę miał raj na ziemi, to sprawa drugorzędna. Najpierw muszę mieć warunki dożycia tej chwili wolności szerokiej i głębokiej, jak morze. Już wam powiedziałem, że nie znajdę odgłosu w moim narodzie, a nie chcemy i moja partya i ja zostać osamotnieni i wszczynać walkę bratobójczą, póki wspólnie dźwigamy pęta ohydnej niewoli.

(Dalszy ciąg nastąpi).



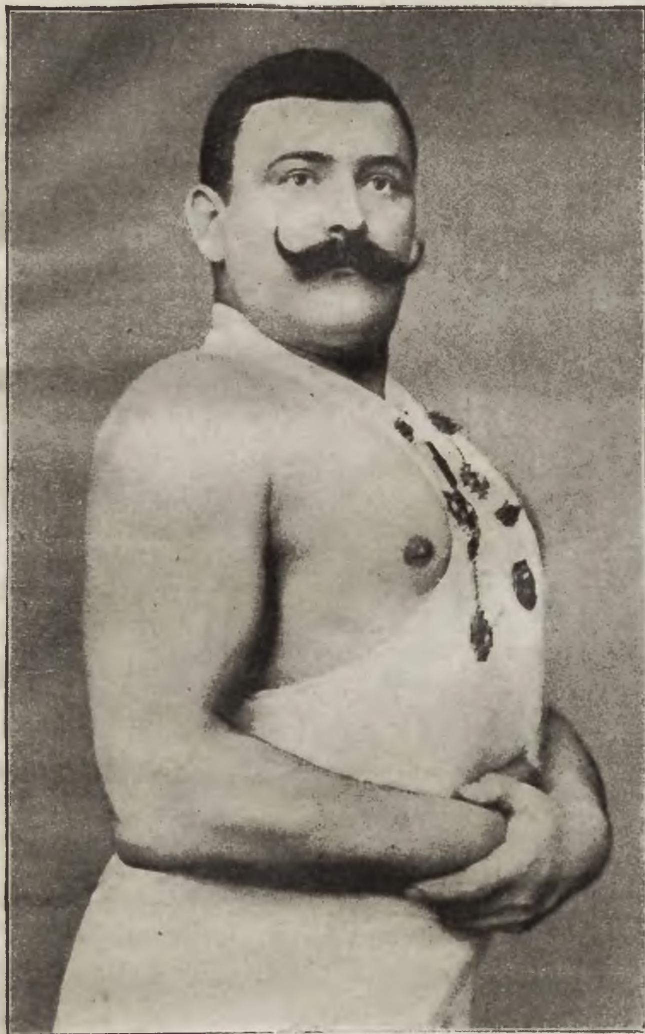
Cała Polska, to jedno więzienie duszne i zatęchłe, o czem wy, w Rosyi nie macie pojęcia!

Polscy atleci.

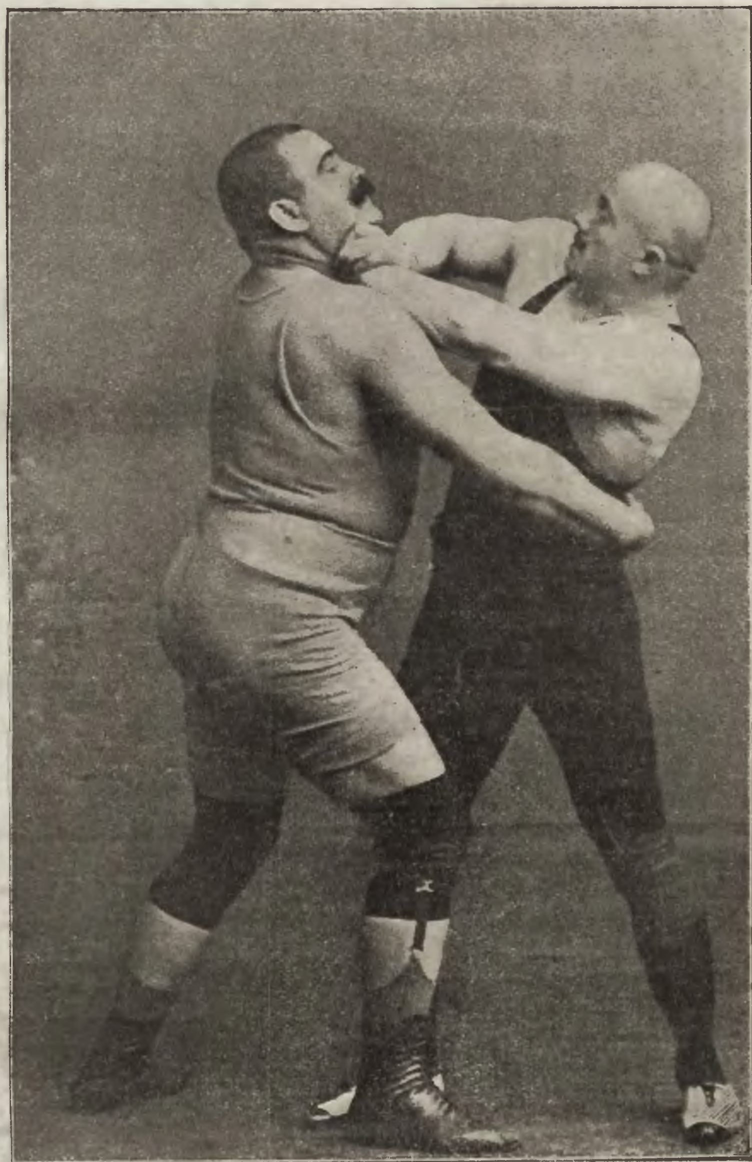
Zamieszczamy dziś fotografię znowu jednego z wybitnych atletów polskich. Jest to młody Otton Nowosielski, uczeń mistrza Pytlasińskiego, z czasów, gdy ten udzielał lekcyi zapasów w 1901 roku we Lwowie w Sokole Macierzy. Tam wówczas 17-letnim chłopcem otrzymawszy tak już świetne początki, trenował się Nowosielski dalej w Sokole lwowskim pod okiem druha Hamburgera, również wybitnego siłacza gimnastyka. Wyjechawszy do Wiednia, za namową Cyganiewicza wstąpił Nowosielski do tamtejszego „Ring-sportclubu“, gdzie wyćwiczył się znakomicie w sztuce zapaśniczej. Po półrocznym pobycie w Wiedniu stanął do konkursów publicznych, w których wziął pięć nagród, między temi nawet mistrzowstwo Austryi w zapasach lekkiej kategoryi (waży zaledwie 68 klgr) Za ładne mocowanie ofiarował mu pewien sportsman wiedeński srebrny pokal. Następnie wyjechał Nowosielski do Monachium, gdzie również oddawał się temu sportowi z wielkiem powodzeniem. Tam także przed trzema miesiącami udało mu się zdobyć pierwszą nagrodę w zapasach z 28 współzawodnikami i to nie byle jakimi siłaczami.

Dyrekcya cyrku Metropol w Paryżu powołała właśnie z Monachium Ottona Nowosielskiego do ostatniego konkursu. Ale tu przydarzyło się polskiemu atlecie wśród walk światowych nieszczęście: złamano mu ucho, skutkiem czego w obawie przed możliwą gangreną musiał Nowosielski odstąpić od walki dalszej. Rana goi mu się już pomyślnie, więc przyjął ofiarowane mu zaproszenie do Ameryki północnej, dokąd wyjeżdża za parę tygodni walczyć na drugiej półkuli z zapaśnikami światowej sławy.

Druga fotografia, mniejsza, przedstawia Bolesława Rogalskiego, Krakowianina, ucznia Cyganiewicza, który w ostatnich walkach konkursowych siłaczy w warszawskim Cristal Palace zwrócił na siebie uwagę kilkakrotnem zwycięstwem nad poważnymi prze-



Polscy atleci: Uczeń Cyganiewicza, Krakowianin Bolesław Rogalski, który niedawno walczył w Warszawie, a świeżo brał udział w zapasach światowych w Paryżu.

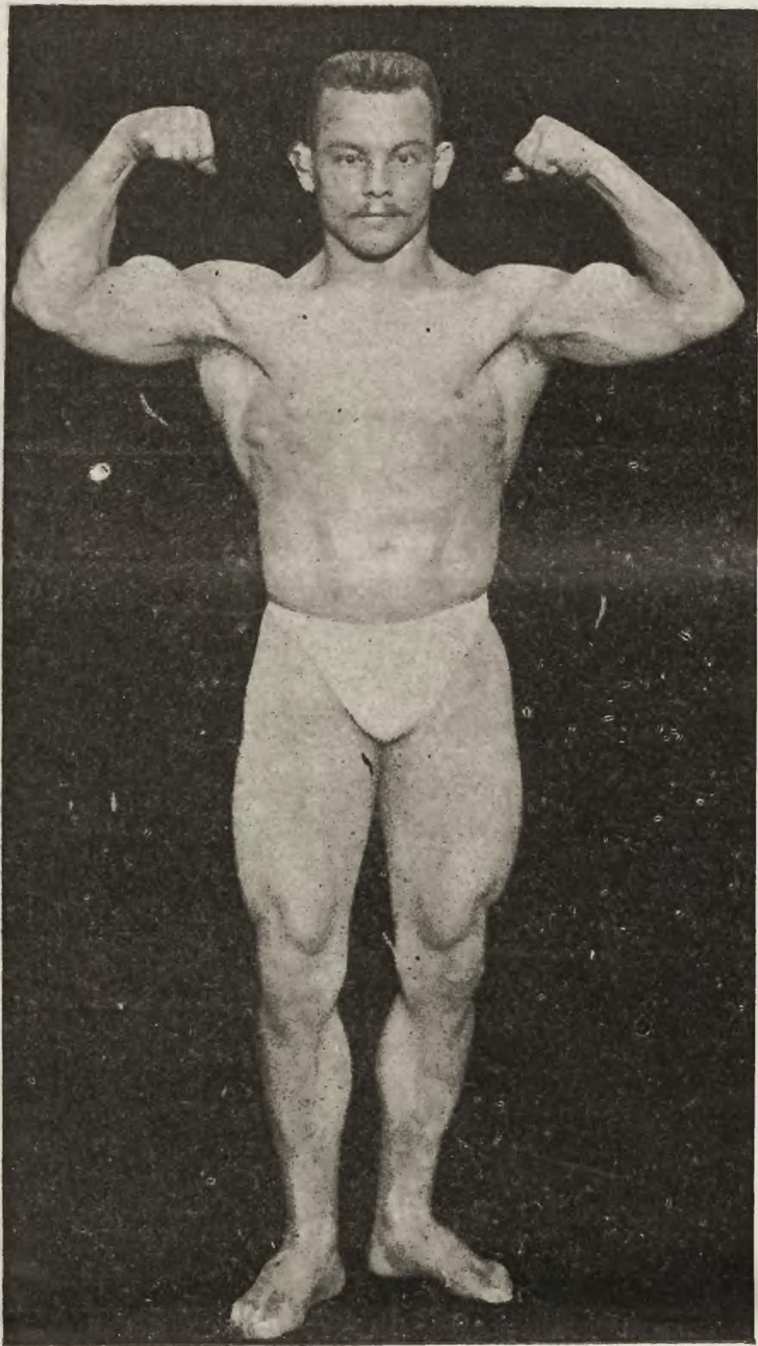


Polscy atleci: Rogalski z Krakowa w walce z Popławskim z Łodzi.



Fot umyślnie dla „Now. Illust“. apar. red. W. Lis w Krakowie.

Ruch przedświąteczny: W głównym urzędzie pocztowym w Krakowie w czasie wzmożonego ruchu przed Bożem Narodzeniem, ekspedycya listów: widok sali listonoszów w godzinach porannych podczas sortowania listów, przeznaczonych do roznieseinia po mieście.



Polscy atleci: Uczeń Pytlasińskiego, dawniej członek lwowskiego „Sokoła-Macierzy“, Otton Nowosielski, który brał wybitny udział w ostatnich zapasach siłaczy w Paryżu.



Ku czci Andrassyego: Świeżo wzniesiony przez patryotów węgierskich pomnik hr. Juliusza Andrassyego w Budapeszcie.

ciwnikami. Występował on ostatnio również w Paryżu, biorąc udział w zapasach z siłaczami światowymi. Na trzeciej naszej fotografii widać epizod walki Rogalskiego z Popławskim. Krakowski atleta popisywał się już z powodzeniem przed publicznością Warszawy, Mińska, Petersburga, Helsingforsu, Berlina, Hannoweru i Paryża. Po Nowym Roku weźmie udział w zapasach, które odbędą się w Warszawie w cyrku Ciniselego.

Ku czci Andrassyego.

W Budapeszcie został odsłoniony w sposób uroczysty pomnik patryoty węgierskiego, któremu ziomkowie zawdzięczają wiele Hrabia Juliusz Andrassy, na którego cześć wzniesiono posąg wspaniały dłuta Jerzego Zali, należy do najbardziej świetlanych postaci najnowszych dziejów Węgier. Jest to były prezydent ministrów węgierskich, a późniejszy minister spraw zagranicznych w Austro-Węgrzech. Położył on zasługi ogromne zaiste dla króla swego i dla narodu własnego, a oddał życie swoje wyłącznie na usługi Ojczyzny. Działalność tego męża stanu była świetną zarówno na polu polityki wewnętrznej w kraju, jako też w dziedzinie dyplomatycznej. Mędrzec węgierski Franciszek Deak nazwał hr. Andrassyego mężem opatrznościowym dla Węgier. Jeżeli ugoda z r. 1867 dała Węgrom z powrotem konstytucyę i uregulowała stosunek do Austryi, to przedewszystkiem zasługa Juliusza Andrassyego, któremu powiodło się usunąć wreszcie z drogi piętrzące się trudności i przeprowadzić praktycznie idee Deaka. Stworzenie wspólnych instytucyi, jakie wywołał dualizm w monarchii austro-węgierskiej, to również głównie dzieło Andrassyego. Za to dziś wzniesiono mu w Budapeszcie pomnik wspaniały.



Fot. dla „Now. Illustr.“ M. Münz, Lwów.

Katastrofa kolejowa we Lwowie: Komisya kolejowa przeprowadza śledztwo na miejscu wypadku.

Katastrofa kolejowa we Lwowie.

W sobotę ubiegłą rozeszła się po Lwowie wiadomość w rannych godzinach, że na dworcu kolejowym zdarzył się wypadek nieszczęśliwy. W pierwszej chwili przesadne opowiadano szczegóły katastrofy i dopiero dzienniki wyjaśniły, że na szczęście wypadek nie przybrał rozmiarów większych ani ofiar w ludziach nie pociągnął.

Katastrofa wydarzyła się pod mostem „Lewandówka“, 2 klm. od dworca głównego. Na zatrzymany z niewiadomego powodu pociąg pospiesznotowarowy nr. 63 idący z Krakowa do Lwowa, najechał pociąg osobowy, również z Krakowa, przychodzący według rozkładu w 15 minut po tamtym. Pociąg osobowy miał dwie maszyny. Na jednej był maszynista Pechniuek i palacz Gałecki, na drugiej maszynista Franciszek Kalkus, a palacz Dyonizy Kapelan. Wprawdzie pociąg osobowy miał otrzymać sygnał na zatrzymanie się, jednak z powodu mgły nie widzieli go. Katastrofa była dlatego mniejszą, że maszyniści zobaczywszy w ostatniej chwili znak ostrzegający budnika, zdołali jeszcze zwolnić jazdę.

Skutki katastrofy następujące: Przód pierwszej maszyny pociągu osobowego silnie uszkodzony. Z pociągu towarowego zaś dwa wagony z węglami i jeden wagon z beczkami wina zostały wyrzucone z szyn, jednak niezupełnie uległy zniszczeniu.

Z osób jadących pociągiem osobowym, zgłosiło się 15 pasażerów z lekkiemi uszkodzeniami.

Jeden z podróżnych wymienionego pociągu osobowego opowiada przebieg wypadku jak następuje:

„Spałem w przedziale drugiej klasy na ławce od strony Krakowa, gdy nagle usłyszałem trzask gwałtowny, uczułem się uniesiony w powietrze i za chwilę otwarłem oczy na podłodze wagonu, dość dotkliwie potłuczony. W moim przedziale było jeszcze trzech podróżnych: dwaj, podobnie jak ja potłukli się jedynie, trzeciego uderzenie podrzuciło tak nieszczęśliwie w górę, że skaleczył się w oko o żelazne wieszadła. Naturalnie wszyscy: my trzej względnie cali i ów czwarty z krwawiącem silnie okiem rzuciliśmy się ku wyjściu.

„Na zewnątrz tymczasem rozwijała się zwykła scenerja wypadków kolejowych: krzyki podróżnych, bieganie służby kolejowej i konduktorów, którzy wpędzali podróżnych z powrotem do wagonów, wzywając ich, by czekali na pociąg ratunkowy z lekarzami, bo ci opatrzą rannych... Pod nogami skrzypiał śnieg, mroźne powietrze opalizowało się lekką mgłą wiszącą w niem. To mgła, jak się zdaje, prócz pomyłki w sygnałach, była główną z przyczyn wypadku.

„Czekanie stało mi się bardzo rychło za długiem, a ponieważ spieszyło mi się do Lwowa, ruszyłem raźnie piechotą i w ten sposób przedefilowałem wzdłuż całego pociągu i obejrzałem całe miejsce wypadku. W oknach wagonów widziałem już tu i ówdzie pobandażowane głowy podróżnych, którzy jednakże przeważnie skarżyli się na kontuzye, zaś okaleczeń, jak owego mego towarzysza w oko, było niewiele. Naturalnie poszkodowani i nieposzkodowani z żywą gestykulacyą ludzi zdenerwowanych dopiero co przebytem niebezpieczeństwem, opowiadali jak się to stało. Jakaś młoda, przystojna pani opowiada, jak to w oczekiwaniu Lwowa wyszła na korytarzyk wagonu, gdy nagle padła jak długa na ziemię, tłukąc się dotkliwie...

„Zbliżam się do miejsca wypadku: oto wagon pocztowy „krwawiący“ rumem czy spirytusem, który spływa strumykami z jego wnętrza, bo silna woń alkoholu unosi się w powietrzu — widocznie przesyłki we wnętrzu tego wagonu ucierpiały mocno. Oto wreszcie główny „winowajca“, lokomotywa naszego pociągu, umieszczona, jak w podartym futerale, w rozbitym wagonie węglowym pociągu towarowego. Biedna lokomotywa, zdaje się, z całego naszego pociągu ucierpiała najmocniej, a wygląd jej.. mocno fantastyczny. Przód przeładowany, bufory pogięte, wyglądają, jak za krótkie ręce, które napróżno chce spleść ze sobą, aby je załamać na widok bigosu, którego narobiła!

„Ostatni wagon towarowego pociągu zupełnie zniszczony. Osie żelazne porozbijane i pokręcone jak piórka. Na tyle tego wagonu znajdowała się budka hamowniczego. Ale na szczęście, kiedy pociąg towarowy zatrzymał się na torze, hamowniczy zeszedł na chwilę, aby „rozprostować nogi“ i tem uratował się od niechybnej śmierci, bo właśnie nadjechał zdążający w tę samą stronę pociąg osobowy...

„Mijam miejsce wypadku i słyszę sprzeczkę maszynistów obu pociągów jak robią sobie zarzuty: „Dlaczegoś ty stanął na drodze“? — woła maszynista osobowy. „Dlaczegoś jechał“? — pyta maszynista towarowy. „Ja dostałem sygnał „Bahn frei“! — odpowiada pierwszy. „A mnie kazano czekać, bo tor na dworcu zajęty“ — mówi maszynista towarowego pociągu.

„No! i tak mamy — jeżeli dodać zwłaszcza wspomnianą powyżej mgłę, całą już chyba i bardzo prawdopodobną, a bardzo zwyczajną genezę wypadku...

„Co się dalej stało z zatrzymanym pociągiem — nie wiem. Wiem tylko tyle, żem doszedł do dworca i puścił się ku miastu, a poza mną nie było jeszcze ani słychu o moim pociągu“.



Fot. dla „Now. Illustr“ M. Münz, Lwów.

Katastrofa kolejowa we Lwowie: Miejsce wypadku kolejowego w godzinę po zderzeniu się pociągu osobowego z towarowym.



Stan wojenny w obrazkach: Transport poczty przez miasto w czasie stanu wojennego w Warszawie (na rogu ulic Erywańskiej i Mazowieckiej.



Hrabia pożyczał Kazimierz hr. Krasiński, bohater głośnej w Warszawie sprawy sądowej z artystką teatru „Rozmaitości“, Wandą Bistram-Majchrzycką.

Stan wojenny w obrazkach.

Miesiące mijają, a nad Warszawą stan wojenny wisi bez przerwy.

Ilustrowaliśmy już nieraz w różnych czasach ten odrębny charakter, jaki przybrały ulice Warszawy z powodu wzmocnionej ochrony, to znów stanu wojennego.

Ale ponieważ obrazy te będą kiedyś stanowiły historyczną pamiątkę, zamieszczamy coraz to nowe fotografie charakterystyczne z ulic stolicy Królestwa.

Dziś właśnie dajemy Czytelnikom znowu dwa zdjęcia z dni ostatnich. Jedno przedstawia posterunki kawaleryjskie widne na ulicach z powodu stanu wojennego, drugie zaś uprzytamnia, jak się pod osłoną wojska przewozi teraz pocztę przez ulice.



Stan wojenny w obrazkach: Posterunki kawaleryjskie na ulicach Warszawy.

Hrabia pożyczał...

Wiadomo już, że wśród publiczności warszawskiej wywołała wrzawę przedziwna sprawa sądowa między artystką teatru Rozmaitości panią Wandą Majchrzycką a hrabią Kazimierzem Krasińskim. Przebieg sprawy przed sądem opowiedzieliśmy już przed tygodniem obszernie, zamieszczając portret artystki. Dziś wracamy do tej sprawy dlatego, że okazuje się, iż mimo wszystko, co powiedziano ze strony przeciwnej — hrabia pożyczał istotnie pieniądze od pani Majchrzyckiej. Artystka, jako baronówna Bistram z domu, miała posagu 30 tysięcy rubli, a nadto wygrała na premiówce 10 tysięcy. Są kwity, któremi może ona udowodnić, iż dla hrabiego zastawiła swoje kosztowności za 11 tysięcy rubli; są liczne listy, które świadczą najlepiej, że płaciła za hrabiego wysokie rachunki, kupowała dlań kosztowne przedmioty i wogóle pożyczała hrabiemu pieniądze. Sympatya publiczności staje właśnie po jej stronie uważając, że artystka słusznie proces wygrała. Natomiast wiele stracił w oczach publiczności, interesującej się tą aferą, niedołężny hrabia Kazimierz Krasiński, zostający pod wpływem swej żony, pani Marty z hr. Pusłowskich. Chory ten człowiek liczy dziś lat 50. Zamieszczamy w bieżącym numerze dobrą jego fotografię.

Nowe medale polskie.

Medalnictwo było dotąd u nas mało uprawiane. Tembardziej zwróciły na siebie uwagę wystawione świeżo w Krakowie medale, wykonane przez znanego i wybitnego artystę-rzeźbiarza i malarza, prof. Jana Raszkę. Kształcił się on w medalierstwie jeszcze podczas pobytu swego w Wiedniu u śp. Antoniego Scharffa, nadwornego medaliera i dyrektora Akademii medalnictwa; u niego poznał Raszka tajemnice tej sztuki i dąży do tego, by zaniedbaną w Polsce gałąź sztuki, która za granicą tak wysoko stanęła, ożywić i u nas. Aczkolwiek charakterystyka portretów pysznie uchwyconych i delikatność modelowania stron alegorycznych w medalach bitych w bronzie, srebrze i złocie wychodzi o wiele wyraźniej, to jednak może Czytelnik i z fotografij załączonych tu w reprodukcyi, wnioskować o ich zaletach i o oryginalności pomysłów. Medal Bartynowskiego zamówili jego przyjaciele, by uczcić wielkie zasługi około naszej archeologii tego uczonego. Portret jego zajmuje jedną stronę medalu, na drugiej Światowid i pejzaż nocny alegoryzują archeologię. Medal ten pojęty jest w stylu zupełnie modnym. Drugi medal w stylu renesansowym ku czci Mikołaja Reja zamówiła z funduszów jego potomka, Akademia Umiejętności w Krakowie, na pamiątkę 300 ej rocznicy urodzin poety; bity w złocie, przeznaczony jest na nagrodę literacką. Na odwrotnej stronie alegorya wyobraża „Zwierciadło“ Reja z Nagłowic.



Nowe medale polskie: Wykonany przez prof. Jana Raszkę w Krakowie medal na cześć archeologa polskiego Władysława Bartynowskiego.



Nowe medale polskie: Wykonany na zamówienie Akademji Umiejętności przez prof. Jana Raszkę, medal złoty ku czci Mikołaja Reja w 300-ną rocznicę urodzin poety, a przeznaczony na nagrodę literacką.

Katowanie dziecka.

(Do illustracyi na str. 26).

Ogromne oburzenie wywołał w Tarnopolu fakt strasznego znęcania się nad uczniem sklepowym przez jednego z kupców miejscowych. Niejaki Wartan Moszoro, rozpoczynający dopiero samoistną karyerę kupiecką, kazał przed tygodniem, za nic nie znaczące dziecinne przekroczenie, rozebrać się do naga w sklepie praktykującemu chłopcu i położyć się na krzesło, poczem hiszpańską trzciną grubą wyliczył mu 22 razy. W różnych miejscach, na łopatkach, na plecach uderzenia pozostawiły na wątłem ciele chłopca 20 i kilka ran szerokości z palców, a niektóre ćwierć metra długości. Chłopak nie bronił się, bo już po pierwszych razach omdlał, zresztą trzymał go subjekt Pelc. Ofiarą tak nieludzkiego i godnego napiętnowania znęcania się nad dzieckiem — jest 13 letni Stanisław Smolak, oddany na praktykę do sklepu Moszory przez ojca swego, robotnika. Sprawa stała się w mieście głośną i została oddana sądowi. Lekarz sądowy osłupiał na widok znaków, pozostałych na ciele dziecka po egzekucyi, a sędzia oczy zakrył, nie mogąc bez wzruszenia patrzyć na ofiarę. Podobne wrażenie sprawiły oględziny ciała chłopca dla dalszych opatrunków w ambulatoryum kasy chorych (co przedstawia nasza fotografia); tu rodzice chłopaka mdleli kilkakrotnie na widok ran na ciele dziecka.

Do postępowania karnego przeciw katowi oprócz ojca Smolaka przyłączy się i miejscowa kasa chorych.

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

11 Ciąg dalszy.

Owen poprowadził doktora do domu, i szybko zamknął drzwi za sobą. Bodger skradał się przez drugą bramę, spodziewając się tędy przedostać do wnętrza. Prawdopodobnie przywołano doktora do chorego!

Lecz któż mógł nagle zasłabnąć? Może tajemnicza dama, zamieszkująca górne piętro pałacu Owena? Czyżby Bodger miał się omylić?

Już chwytał za klamkę gdy nagle stanął przed nim Tygrys, pokazując groźnie zdrowe, białe zęby. Józef starał się zwierzę ugłaskać, nieprzyjazny pomruk był jedyną odpowiedzią.

Nie pozostało Bodgerowi nic innego, jak wskoczyć przez okno i w ten sposób szukać ocalenia przed rozjuszonym Tygrysem. Bał się jednak, że zdradzi go szczekanie Tygrysa Wolał tedy uciekać. Szybko zwrócił się w stronę przeciwną i umykał przez ogród na pola. Drżał na całem ciele, ilekroć pies przypadał do niego.

Było po 11 może, gdy Owen przyprowadził doktora

Późno po północy wracał Viret do domu. Nie patrząc prawie przed siebie, szedł zwolna i ociężale.

Na korytarzu płonęła jeszcze lampa — pobudzono zatem wszystkich. Wkrótce dnieć miało, więc Bodger, dawszy na razie za wygraną, zaklął i wróciwszy szybko, do swojej sypialni, padł wyczerpany na łóżko.

ROZDZIAŁ XXII.

Postanowienie Józefa Bodgera.

— Czy ... był tutaj wczoraj wieczorem pan Fairford? — zapytała w poniedziałek rano doktora Vireta panna Flora — zdaje mi się, że słyszałam głos jego.

— Tak! panno Floro! — to był Fairford!

— Razem z nim wyszedłeś pan tej nocy? — badała dalej panna Derwent, przypatrując się uważnie jego wyrazowi twarzy!

— Wrócił pan dobrze po północy — może koło 2 godziny!

— Zdaje mi się, że Fairford zainteresował panią troszkę — odparł doktor, uśmiechając się nieznacznie.

— Przed śmiercią ojca bardzo często obcowałam z panem Fairfordem — ale panie doktorze — niech mi pan zechce powiedzieć, co stało się tej nocy.

— Co właściwie pragnie pani wiedzieć?

— W jakim celu zjawił się pan Fairford tej nocy? Czy zachorował ktoś w jego domu?

— Niech mnie pani o to nie pyta — odparł stanowczo doktor — odemnie nie dowie się pani ani słowa w tej sprawie!

— Pocóż znów ta tajemniczość!

— Fairford stanowczo domaga się dotrzymania słowa. Nie pragnie aby dowiedziałaś się o tem. dodam to jeszcze, że wkrótce wyjedzie stąd Owen i nie ujrzy go pani już n gdy. Więcej niech pani nie żąda — dodał stanowczo — w życiu wiele przeszedłem, nic nie zrobiło na mnie wrażenia tak piorunującego, jak ta noc ostatnia. Za nic w świecie niechciałbym przechodzić tego raz jeszcze. To było straszne! okropne!

Oczy panny Derwent zrosiły się łzami, pozornie spokojna usiadła na swem zwykłem miejscu, w sercu jej jednak huczała burza rozpaczy na samą myśl, że Fairford odjedzie na zawsze. Nie przypuszczała ani na chwilę, aby Fairford, człowiek tak zacny i szlachetny, aby ten Fairford, ... był dla niej wzorem wszelakich cnót i do... , musiał teraz uciekać z Rookfield, wmiesza... w jakąś nieczystą sprawę.

Doktor Viret był pierwszą osobą, która znala... przystęp do domu Fairforda. Czyżby Fairford ...rzebował pomocy lekarskiej? Czyżby podejrze... Arnolda, że Owen ukrywa jakąś tajemniczą ... miało się spełnić tak niespodziewanie i na...gle?

— Czy pan idzie teraz do pana Owena? — spytała panna Flora doktora, gdy Viret powstał od stołu.

— Nie! Broń mnie panie Boże!

Zatem u pana Fairforda nikt nagle nie zasłabł! Bo przecież Owen nie miałby najmniejszego powodu osłaniać gęstą tajemnicą drobnej niedyspozycyi któregoś z domowników. W razie poważnej choroby musiałby doktor częściej odwiedzać pacyenta, a Viret oświadczył przecież przed chwilą, że niema najmniejszego zamiaru zobaczyć się powtórnie z Fairfordem.

— Czy doktor Brown zajmie się chorym? — zapytała po chwili panna Flora.

Viret stał właśnie na progu Słowa nie mówiąc, powrócił szybko do pokoju. a zatrzasnąwszy silnie drzwi, odezwał się tonem błagalnym:

— Floro! na Boga zaklinam cię, dziecię, zapomnij o tem wszystkiem Niech ci się zdaje, że noc dzisiejsza nie istniała zupełnie, wykreśl ją ze swoich wspomnień, będzie to daleko lepiej dla ciebie i dla mnie.

Dziewczę zamilkło zdziwione niezmiernie tonem, jakim Viret do niej przemówił, lecz ciekawość jej, niezaspokojona bynajmniej, nie pozwalała jej zasnąć zmuszając ją do energicznego badania. Pocieszała się wreszcie nadzieją spotkania Fairforda, gdyż nie przypuszczała nawet, aby Owen wyjechał bezpowrotnie, nie pożegnawszy się wprzód ze swą przyjaciółką.

Popołudniu przybył z wizytą Arnold, lecz Flora, zajęta swojemi myślami, nie przyjęła go wcale, wymawiając się bolesną migreną. Tryumfalny widok kuzyna, który bądź co bądź odniósł zwycięstwo na całej linii, napawał Florę niewypowiedzianym wstrętem, postanowiła tedy nie pierwej z nim rozmawiać, aż Holt zjawi się z nowemi wiadomościami.

Koło ósmej godziny zjawił się w kuchni Bodger. Zmęczony i niewyspany, mało zważał na naganę ze strony pani Cawdrey, przeczuwając, że sprawa już bliską wyjaśnienia! Nie spodziewał się jednak, aby rozwiązanie nastąpiło tak prędko.

Sara spełniała jakieś polecenie pani Cawdrey.

— Holla! — zawołał na progu, nie spostrzegłszy w kuchni swej surowej mistrzyni — gdzie się schował ten przeklęty smok?!

— Pani Cawdrey jest teraz na górze.

Bodger gwizdał sobie pod nosem.

— Ciekawe rzeczy działy się dzisiejszej nocy — rozpoczęła rozmowę Sara — w domu zjawił się jakiś obcy mężczyzna około północy. Słyszałam najwyraźniej głos jego. Powstałam, aby zobaczyć, kto to być może, gdy nagle spostrzegłam ku niemałemu zdziwieniu, że drzwi moje były zamknięte. Niechby tak wybuchł u nas pożar! Cóż jabym biedna poczęła? To sprawka pani Cawdrey — przeklęta czarownica zamyka mnie własnoręcznie co noc. Wypuściła mnie dopiero nad ranem, gdy pan Fairford zażądał śniadania

— Gdzie jest teraz pan Fairford? — zapytał Bodger.

— Kto go tam wie?! Widziałem go rano o szóstej, wypił kawę i wyszedł natychmiast.

— Czy wziął ze sobą wysoki, czarny kapelusz?

— Tak! Ubrany był odświętnie, był jednak bardzo blady i niewyspany.

Bodger przypuszczał nie bez pewnej podstawy, że Owen wyjechał do Londynu. Zrezygnował zatem z dzisiejszej roboty i powróciwszy do swojej sypialni, spakował szybko kuferek, aby być gotowym do podróży na wszelki wypadek. Usunął krzesło, które służyło mu dotąd tak wiern e, drzwi, prowadzące na stryszek zaryglował napowrót.

Bodger żałował troszkę, że nie wystąpił otwarcie do walki przed wizytą Vireta, na szczęście nie było jeszcze zapóźno — posiadał tyle wiadomości o tajemniczej osobie, że sprawa musiała się udać. Co do pobytu w Rookfield, to miał go po szyję, pragnął też odjechać jak najprędzej.

Po obiedzie wałęsał się po kuchni, nie myśląc zupełnie o robocie Pani Cawdrey nie weszła ani razu do kuchni. Koło czwartej popołudniu posłyszał nagle, głos Owena:

— Wilhelm!

— Do usług, proszę pana!

— Przyjdź zaraz do mego pokoju!

Skoro Bodger zamknął drzwi za sobą, Owen usiadł zmęczony przy stole i oparł głowę na rękach.

— Dostaniecie pełną pensyę za miesiąc następny. Macie wasz kufer natychmiast spakować i w pół godziny opuścić moje mieszkanie!

Bodger nie odparł ani słowa; patrzał tylko z podełba na Fairforda, który odliczał spokojnie pieniądze.

— Proszę przeliczyć! Czy chcecie świadectwo z waszego zachowania się?

Józef zbliżył się do stołu i zgarnąwszy szybko pozostawione pieniądze, zapytał niespodziewanie Fairforda:

— A gdybyśmy pomówili jeszcze o pańskiem zachowaniu?

Owen spojrzał na niego zdziwiony.

— Czyś ty dzisiaj pijany?!!

— O! Bynajmniej panie Fairfordzie. Jestem najzupełniej trzeźwy. Będąc w służbie u pana, miałem oczy otwarte i zważałem bacznie na wszystko, nie mówiąc ani słowa. A coby pan tak na to powiedział, gdybym podczas rozprawy sądowej wystąpił niespodzianie w charakterze świadka?! Zdziwiłby się pan pewnie porządnie! Chwała Bogu czas jeszcze Wyznaczonej nagrody nie otrzymał nikt dotąd, spodziewam się, że wkrótce tysiąc funtów szterlingów pozyskam.

Bodger mówił z całym spokojem. Od czasu do czasu rzucał baczne spojrzenie na Owena, jak gdyby starał się w duszy jego wyczytać wrażenie, jakie wywarły na Fairfordzie jego słowa zuchwałe.

Niepokój, jaki opanował Owena, przeszedł najśmielsze życzenia Bodgera. Cios był zręcznie wymierzony.

Fairford pochylił głowę w tył nieco, ręce jego drżały aż nazbyt widocznie. Twarz blada mówiła wyraźnie o walce wewnętrznej.

— Nie rozumiem cię Sanders! — odparł Owen po chwili.

— Zrozumie pan wszystko dokładnie!

— Wspominałeś o rozprawie sądowej z ubiegłego piątku, czy chcesz mi dać do zrozumienia, że podejrzywasz mnie może o współudział w zamordowaniu pana Derwenta. Skoro tak, to dlaczego rozmawiasz dotąd, zamiast pójść czemprędzej po policyę?!

Jedno wiedział Bodger na pewne — gdyby Owen nie był wmieszany w tę sprawę, byłby go natychmiast wyrzucił za drzwi, lecz Owen słuchał go z uwagą, zależało mu zatem, co powie Bodger.

— Po pierwsze — rozpoczął Bodger na nowo — mogę posłużyć w razie potrzeby wskazówkami co do tajemniczego zniknięcia Derwenta — po drugie, przychodzę do pana panie Fairfordzie, gdyż wiem, że pan słowa moje, a raczej wyjaśnienia w tej sprawie okupisz niewątpliwie, po trzecie — stawiam propozycyę, wiedząc dobrze o tem, że panu zależy na mojem milczeniu.

— Do rzeczy zatem! do rzeczy!

— Właśnie tam zmierzam! Niech się pan o to nie boi! Przedewszystkiem odpowie mi pan na pierwsze pytanie: Kto jest ta tajemnicza dama? Przysięgnę, że mieszka u pana, gdyż widziałem niejednokrotnie, jak nocą wychodziła z pańskiego domu.

— Nie odpowiem na zuchwałe pytanie. Powiedziałeś przedtem, że możesz służyć wyjaśnieniami, które mnie wysoce skompromitują! Cóż to za wyjaśnienia?!

— Za tajemniczą damą postępowałem dość często w małem oddaleniu — widziałem również, jak pan palił w kuchni jakiś pakunek.

Byłeś zatem najzwyklejszym szpiegiem w mym domu!

— Poczyniłem wszechstronne spostrzeżenia! Ale do rzeczy! Kobieta, mieszkająca u pana, zna mordercę Derwenta!

W tej chwili bladość śmiertelna wystąpiła na oblicze Owena. Bodger postanowił z tego skorzystać.

— Kobieta ta zna go dokładnie! a i pan także panie Owenie! Niech pan nie stara się przeczyć! Starałeś się pan dotąd zachować tę sprawę w tajemnicy, skoro więc zależy panu na niej i dalej, widzę jedyną radę — trzeba zgodzić się na moją propozycyę.

— Proszę mówić wyraźniej! — odezwał się Owen ponuro.

— Jedno słowo z ust moich, a Holt odnajdzie natychmiast tajemniczą niewiastę Nie, abym czuł specyalną sympatyę do inspektora, bynajmniej nie z tego powodu musiałbym się zwrócić do niego — pomyśl pan jednak o nagrodzie, przeznaczonej dla osoby, która naprowadzi na ślad mordercy!

— Poczynam rozumieć cię! — odpowiedział Owen Badałeś mnie ustawicznie i doszedłeś do przekonania, że mi nieco zależy na tajemnicy, która, zdaniem twem, może sprowadzić hańbę na moją rodzinę.

— Przyznaję racyę!

— Zgadzasz się na milczenie pod pewnymi warunkami? Nieprawda?

— Co do tego punktu, to śmiem się spodziewać, że sprawę ubijemy dość prędko!

— A gdybym się wahał przystać na wyznaczone warunki? Czybyś nie czekał z doniesieniem o wszystkiem policyi?!

— Skoro szczęście uśmiecha się do mnie, nie widzę powodu odwracać się od niego.

— Możliwe! O jednej rzeczy zapomniałeś jednak! Mówiłeś, że masz pewne dane — proszę o bliższe szczegóły tyczące się tej tajemniczej damy.

— Mieszka w tym samym domu. O jej istnieniu nikt niewie, prócz pana, pani Cawdrey, no i mnie panie Owenie! Bo ja znam ją, aż nazbyt dobrze!

— Wspomniałeś poprzednio, że tajemnicza osoba znajdująca w mym domu schronienie zna okoliczności, jakie towarzyszyły zniknięciu pana Derwenta. W jaki sposób poznała tajemnicza kobieta tę sprawę?!

Bodger zastanowił się nad tem chwilę, lecz wnet zdecydował się na wszystko.

— Szła za panem Derwentem krytycznej nocy — czwartego marca — dodał z naciskiem — szła za nim krok w krok, w oddaleniu paru kroków.

— Skąd wiesz o tem? — zapytał niecierpliwie Fairford. Starał się zimno zadawać pytania, po jego gwałtownych i nerwowych ruchach domyślić się było jednak nietrudno, że spokój to tylko pozorny, bo w głębi duszy szalała burza i rozpacz.

— Skąd?! — powtórzył głucho Bodger — to pana mało obchodzi — sam pan wiesz przecie, że zeznania moje zasługują na uwagę, gdyż są najprawdziwsze w świecie. Co do pana, panie Fairfordzie to o ile zdołałem się przekonać, marzysz pan o życiu zacisznem i spokojnem. Czy je osiągniesz, odrzuciwszy moje warunki, śmiem powątpiewać.

— Niechże i tak będzie! Ale inspektor Holt nie uwierzy z pewnością twoim zeznaniom, gdyż nie jesteś w stanie przeprowadzić dowodu prawdy. Przypuśćmy jednakowoż, że mówisz szczerą prawdę, dalej, że ja skłonny jestem przyjąć postawione warunki, to któż mi znowu za ręczy, że nie masz na celu najzwyklejszego oszustwa i szantażu?

Bodger zachwiał się po raz pierwszy. Gdyby Owen nie myślał zgodzić się z góry na wszelkie warunki, byłby poprostu nie wdawał się w układy. Lecz w duchu przyznawał, że Fairford postępuje niezwykle ostrożnie i przebiegle. W jaki sposób należało zadać mu cios ostatni, skłonić go do ostatecznego przyjęcia układów? Cały plan polegał jedynie na tej pewności, że tajemnica, do której klucz znajdował się w ręku Bodgera, zmusi go do najniekorzystniejszych układów.

— Powiem to panu otwarcie — odezwał się Bodger z decyzyą — tę damę widziałem wtedy na własne oczy.

— W takim razie widziałeś i pana Derwenta?!

— Bez kwestyi!

— Gdzie?

— Tam na ulicy.

Skinął głową w kierunku okna.

— Zastanawia mnie rzecz jedna! Czy nie przyznasz mi czasem, że obecność twoja o tak późnej godzinie wywołuje pewne podejrzenie, bo przecież nie mieszkałeś wtedy u mnie zupełnie!

— Jak to pan zna dokładnie tę sprawę! — zaśmiał się Bodger, przygotowany na tego rodzaju pytanie.

Bodger widział Derwenta po raz ostatni. Jak wiadomo wyszedł Derwent z mieszkania o 11 w nocy, a nie dopiero nad ranem, jak sądzono niedawno.

Fairford chodził nerwowo po pokoju.

— Byłeś zatem przypadkowo o 1 w nocy na drodze, którą szedł pan Derwent ostatnim razem?

— Tak, jest! Widziałem go najwyraźniej, parę kroków za nim szła tajemnicza kobieta, mając twarz gęsto zawalowaną. Sądzę jednak, że dosyć dałem wyjaśnień. Czy mam uważać sprawę za ubitą?

— Przyznaję Sanders, że posiadasz dane, które mogą mnie, aczkolwiek klnę się na honor, że jestem niewinny, w wysokim stopniu skompromitować. Wytoczenie tej sprawy przed forum opinii publicznej zgotowałoby mi niewątpliwie masę przykrości i męczących dochodzeń sądowych, lecz z drugiej strony, ręczę ci słowem honoru, że nicbyś nie zyskał na tem, gdybyś doniósł o wszystkiem Holtowi. Wolałbym jednak aby na razie sprawa pozostała tajemnicą.

— Wierzę! Wierzę!

— Żądam, abyś Rookfield natychmiast opuścił. Bezzwłocznie! Masz swoje manatki natychmiast spakować!

— Skoro tylko przystanie pan na mą propozycyę! Co do mnie żądam tysiąca funtów szterlingów; odjadę natychmiast po otrzymaniu pieniędzy.

— Ażeby niebawem powrócić po więcej.

— To zobaczymy jeszcze! Proszę o monetę, a słowa nie pisnę!

— Czy sądzisz, że mam przy sobie tysiąc funtów szterlingów?!—

— Nie szkodzi! Niejednokrotnie wymieniałem czeki na pańskie nazwisko w Wisborough. Przejdę do banku i sprawa załatwiona!

Fairford stał obok Bodgera i patrzał w jego



— Oto jest zbrodniarz! — przemówił Owen.

bezczelne oblicze. Nagle myśl nowa strzeliła mu do głowy:

— Powrócę za chwilę — powiedział — proszę usiąść i poczekać na mnie!

Szybko zatrzasnął drzwi i wybiegł na ulicę wioskową.

ROZDZIAŁ XXIII.

Owen zwycięzcą.

Bodger pozostawszy sam jeden w pokoju, nie mógł powstrzymać się od wybuchu szalonej radości. Rozpostarł szeroko ramiona i począł tańczyć na dywanie Fairforda.

Gotówka przypadała mu lepiej do gustu, nie kłopotał się jednak tem bynajmniej, gdyż obznajomiony z pobieraniem pieniędzy na wystawione przez Fairforda czeki, wiedział, że sprawa nie odwlecze się na długo. Wskazówka na ściennym zegarze posuwała się zwolna naprzód, Fairford nie powracał jakoś. Opanowała go zatem pewnego rodzaju niecierpliwość, gdyż na wymienienie czeku było już dzisiaj za późno.

Nareszcie! Posłyszał kroki na korytarzu. Upragniona chwila zbliżała się. Drzwi rozwarły się na oścież, pchnięte niewidzialną dłonią — na progu stanął Owen w towarzystwie wachmistrza Cadmana, znanego ajenta policyjnego. Cadman mężczyzna w pełni lat, stał spokojnie na progu ocierając spływający obficie pot z czoła.

Droga dosyć była daleka, a dzień niezwykle gorący. Niespodziankę podobną przeżywał Bodger po raz pierwszy, przerażenie jego było daleko większe, niż wtedy, gdy wszedłszy oknem do opustoszałej willi w St. Johns Wood, zastał najniespodziewaniej w pokoju inspektora Holta.

— Oto jest zbrodniarz! — przemówił Owen. Sam wyznał przedemną, że był na ulicy tej nocy, w której skradziono srebra w pałacu pułkownika Askewa. Twierdzę ze stanowczą pewnością, że przy przeszukiwaniu jego rzeczy znajdą się niewątpliwie dowody kradzieży. Proszę go aresztować!

— No! no! — zawołał Bodger, z wściekłością. Nieźle wziąłeś się pan do rzeczy. Ale nie ujdziesz mej zemsty! — dodał zgrzytając zębami.

O oporze nawet nie pomyślał. Owen i Cadmen przewyższali go siłą i zręcznością. Wiedział, że szczęście odwróciło się znowu od niego, że każda próba ucieczki pogorszy tylko jego położenie nie do pozazdroszczenia. A jednak bolała go ta zmiana! — Jakżeż okropną nie, spodziankę zgotował mu los nielitośny! Zamiast tysiąca szterlingów dostanie się do więzienia, a skoro wyjdą na jaw dowody kradzieży posiedzi lat parę może. Myśl zemsty dodawała mu otuchy. Dziwił się odwadze Owena, przeklinając chwilę, w której postawił wiadome warunki — zemstę jego popamięta Owen na zawsze.

Fairford szedł naprzód, za nim Bodger, straż tylną stanowił Cadman. Sara dowiedziawszy się o aresztowaniu Bodgera, wybiegła na dziedziniec i przypatrywała się pochodowi z niezmierną ciekawością.

Poprowadzono go do stajni, gdzie znajdowała się sypialnia Bodgera. Bodger nie chciał się zgodzić początkowo na przeszukiwanie jego rzeczy, Cadman wysunął jednak jego kufer na środek, i klęknąwszy obok niego na ziemi, zażądał stanowczym głosem klucza Bodger wyjął go szybko z kieszeni i rzucił na ziemię.

Kufer odemknięto i poczęto przerzucać jego zawartość. Najpierw wyciągnął Cadman stare, filcowe pantofle, później dużą sztangę żelazną, którą pokazał Owenowi.

— Wystarczy — powiedział wachmistrz, powstając z ziemi — proszę pana ze mną.

Fairford pozostał w domu, Bodger pomaszerował wraz z Cadmanem. Wachmistrz pochwycił zbrodniarza za kołnierz, trzymając go silnie, aby Bodgerowi nie przyszła czasem ochota do ucieczki. Nie podobało się to Bodgerowi i starał się uwolnić od tej serdeczności:

— Zdaniem mem, panie Cadman — przemówił do niego stanowczo—mógłbyś pan puścić mój kołnierz. Wiem, że pójdę do więzienia, ale najwyżej na pięć lat — wobec tego nie mogę zgodzić się na podobne, poniżające traktowanie. Gdzie jest Holt?

— Nie pytaj kochasiu! — odparł z uśmiechem Cadman. Zobaczysz się z nim niebawem, może jeszcze dzisiaj wieczorem!

— Poprosisz pan zatem inspektora, aby przyszedł do mnie niezwłocznie. Jeśli nie zmiażdżę tego przeklętego Fairforda, to niech skończę na szubienicy.

Cadman umieścił Bodgera w jednej z cel więziennych, następnie udał się do urzędu telegraficznego i zawiadomił o wszystkiem inspektora. Holt pospieszył czemprędzej na dworzec i przyjechał nocą do Rookfield.

Cadman wprowadził Holta do celi Bodgera.

— Oho! — zawołał Holt — góra z górą się nie zejdzie! Cadman! proszę podać mi lampę. Nu! Bodger! Wszedłeś na nową drogę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trzy przepowiednie śmierci spełnione.

Przed dziesięciu dniami obiegła prasę włoską, a później i francuską, wzmianka następującej treści: Spirytyzm w Rzymie mocno się rozszerza, chociaż niedawno literat włoski, Antonio Traversi w liście do dziennika „Giornale d' Italia" dowodził, iż wszystkie najlepsze medya włoskie, jak nawet Polizzi, jak Eusapia Palladino (znana w Warszawie) uprawiają mistyfikacye. Zresztą Rzym jest pod wrażeniem wypadku, jaki się wydarzył w szpitalu Iate-Bewe-Fratelli. W szpitalu tym lekarz papieski dr. Lapponi (o którym wiadomo, że jest spirytystą) powiedział do felczera, wskazując na jednego z ciężko chorych.

— Ten będzie zdrów za trzy dni.

Zostawszy sam na sam z felczerem, chory ów odezwał się spokojnie:

— Powiedział profesor, że za trzy dni wyzdrowieję. Otóż ja powiem, że za miesiąc umrę, za dwa miesiące umrzesz pan, panie felczerze, a najdalej za trzy miesiące pospieszy do naszego towarzystwa i doktor Lapponi...

Felczer przygnębiony udał się do doktora Lapponiego i powtórzył mu słowa pacyenta. Lekarz przyjął tę wiadomość z widocznem wrażeniem i odtąd pilną uwagę zwracał na chorego wróżbitę.

I oto co się stało. Pacyent ów wyzdrowiawszy po trzech dniach — umarł istotnie po miesiącu. Felczer rozchorował się i leżał przez dwa miesiące w szpitalu, i pomimo pilnej pomocy i ciągłego pielęgnowania go przez lekarzy, umarł w terminie przepowiedzianym. Wreszcie przed tygodniem zapadł i doktor Lapponi na ciężkie cierpienie żołądka, a stan jego w ostatnich dniach tak się pogorszył, że zaczyna budzić obawy.

Wzmianka powyższa wywołała powszechną sensacyę. Do Watykanu nadchodziły coraz bardziej



Trzy przepowiednie śmierci: Zmarły przed tygodniem w Rzymie, przyboczny lekarz papieży Leona XIII. i Piusa X., dr. Giuseppe Lapponi, któremu pacyent przepowiedział dokładny termin śmierci.



„Moralność pani Dulskiej": Najnowsza fotografia domowa pozostającej po chorobie w rekonwalescencyi, znakomitej pisarki polskiej, Gabryeli Zapolskiej-Janowskiej, autorki wystawionej w sobotę po raz pierwszy w Krakowie z ogromnem powodzeniem komedyi 3-aktowej p. t.: „Moralność pani Dulskiej".

Fot. J. Golcz, Warszawa.

Zjazd Kółek rolniczych w Warszawie: Uczestnicy świeżo odbytego w Warszawie zjazdu Kółek rolniczych.

niespokojne zapytania o stan zdrowia przybocznego lekarza papieskiego. Naraz telegram piątkowy z Rzymu rozniósł wiadomość o śmierci dra Lapponiego. Przepowiednia chorego powtórzona przez całą prasę, sprawdziła się dokładnie. Rzecz zrobiła silne wrażenie nie tylko na spirytystach, ale i na niedowiarkach, lekceważących sobie spirytyzm, którzy po tem wszystkiem powtarzają w zdumieniu, że są jednak rzeczy, o których nie śniło się nawet filozofowi...

* * *

Dr. Giuseppe Lapponi, przyboczny lekarz dwóch papieży, ukończywszy z odznaczeniem uniwersytet boloński w r. 1875, piastował przez pewien czas stanowisko asystenta dra Tartuffiego, profesora anatomji patologicznej w tym uniwersytecie, poczem praktykował w Toskanji, zyskując sobie w różnych miejscowościach coraz większą wziętość. W 1888 powołał go na swego asystenta ówczesny lekarz przyboczny Leona XIII. dr. Ceccarelli. Wkrótce potem umarł tenże niespodziewanie, a dr. Lapponi objął zaraz po nim stanowisko i tak umiał zręcznością zawodową i charakterem zacnym pozyskać zaufanie papieża, że Leon XIII wznowił specyalnie dla niego tytuł „Archiatro di Sua Santita“. Stanowisko Lapponiego nie było bynajmniej synekurą, oprócz bowiem starannego czuwania nad zdrowiem dostojnego pacyenta, oblegany był bez p... przez przeróżnych dostojników kościelnych, dyplomatów, arystokracyę i mnóstwo innych osób, bądź to pragnących korzystać z jego wiedzy, bądź też przychodzących się dowiedzieć o zdrowie papieża. Prócz tego napastowali go dziennikarze, wymagając się interwiewów, w chwilach zaś wolnych od tych odwiedzin, musiał odpowiadać na setki nieraz telegramów, dopytujących się o zdrowie głowy Kościoła. Wynagrodzenie za to wszystko było zgoła niewielkie, wynosiło bowiem zaledwie 250 franków miesięcznie.

Po śmierci Leona XIII otoczenie nowego papieża usiłowało usunąć dra Lapponiego ze stanowiska wpływowego. Pius X. jednak nie chciał o tem słyszeć, mówiąc:

— Jakże możecie żądać, abym usunął człowieka, który doprowadził mojego poprzednika do 93 go roku życia?

Niezbyt dawno ze zdziwieniem świat się dowiedział, że przyboczny lekarz papieski jest spirytystą, wydał bowiem książkę z tej dziedziny. Dzieło to nabrało szalonego rozgłosu i miało wziętość ogromną.

Dr. Lapponi chorował od dłuższego czasu na raka żołądka.



Katowanie dziecka: W kasie chorych w Tarnopolu, oględziny 13-letniego ucznia sklepowego, któremu pryncypał wyliczył grubą trzciną 22 razy na gołe ciało, poczem lekarz sądowy stwierdził przeszło 20 ran szerokości 2 palców, a gdzieniegdzie ćwierć metra długich. (Do artykułu na stronie 18.)

Z lwowskiego bruku.

(O pewnym redaktorze i jego dziennikarskiej działalności słów kilkoro. — Miasto. — Ruch przedświąteczny. — Ogólne przepełnienie. — Gdzie piszę. — Wesołych świąt).

Przyrzekłem w ostatnim liście napisać nieco obszerniej o pewnym — przepraszam za wyrażenie — „redaktorze“, którego działalnością zajmuje się w tej chwili lwowska prokuratorya państwa.

Przed kilku laty zauważył pewien obiecujący młodzieniec, że nie potrafi pracować jako uczciwy człowiek, bo go niczego nie uczono, że na rzemieślnika się nie nadaje, bo jest za stary, że urzędnikiem być nie może, bo go już raz za jakąś tam bagatelkę napędzono z urzędu gminnego, że żyć potrafiby, ale niema z czego, a tu ani pieniędzy, ani choćby odrobiny wykształcenia, ani nawet sprytu życiowego, oczywiście tego uczciwego, bo inny spryt miał. Zostawały mu więc dwie drogi: powiesić się, albo zostać redaktorem. Na to pierwsze — pomyślał sobie — jest jeszcze zawsze czas, a na to drugie nie potrzeba ani ortografij, ani świadectw, ani uczciwości. Wystarczą 2 korony na stempel do podania i można się stać „redaktorem“.

Założył więc dla „zreformowania“ społeczeństwa tygodnik literacki, polityczny, ekonomiczny, społeczny, obyczajowy itd. Te wszystkie piękne działy miały się pomieścić na dwóch kartkach tego „organu“ i rozpoczęła się działalność publicystyczno-reformatorska. Ale ludzie są odporni na wszystkie zbawcze „reformy“ i nie chcieli ani czytać organu ani dawać inseratów. Widział tedy redaktor, że źle, bo przyjdzie mu zginąć z głodu a jego organ przestanie funkcyonować. Najgorszem było, że społeczeństwo mogło pozostać niezreformowane, o co mu głównie chodziło.

Przerobił więc odrazu tj. w pierwszym miesiącu swego zacnego żywota organ na hotel, w którym każdy za stosowną opłatę mógł załatwiać swoje prywatne potrzeby. Właściciel organu hotelu miał jakieś suchotnicze dochody, ale za to musiał jako podpisany redaktor nastawiać ascetycznie twarz, ile razy kto zaczepiony szedł załatwiać rachunki. Brał więc p. redaktor w twarz jak w bęben i powtarzał tylko w duchu: Boże, nie przebacz im, bowiem wiedzą co czynią. Nietylko twarz redaktorska cierpiała, ale trzeba było za oszczerstwo pozwolić zamknąć na czas pewien całe ciało lecz pocieszał się tem: jest męczennikiem „idei“. Na życie to atoli nie wystarczało. Wobec tego p. redaktor wziął się na inne zarobki uboczne. Przedewszystkiem żądał od kupców, przemysłowców a nawet od osób prywatnych, aby u niego zamieszczały inseraty. Te inseraty mogły być zamieszczone, albo nie, ale płacić za nie trzeba było koniecznie. Ludzie płakali, ale dawali. Są bowiem ludzie, którzy muszą dawać inseraty. Nawet ludzie prywatni... A we Lwowie było właśnie opróżnione miejsce po innym takimże „redaktorze“: Hołodyńskim, wydawcy „Karykatur“, który drapnął przed kilku laty do Ameryki. A więc objął miejsce i klijentów po smutnej pamięci Hołodyńskim i ta gałęź zarobku szła już nieźle. Nawet mu na tem nie zależało, aby rozsprzedać o 5 numerów więcej swego organu — bo teraz mógł śmiało drukować ogółem 50 numerów. Do wydobywania inseratów używał jakiegoś fryzyera i kolportera dzienników z ul. Karola Ludwika i interes szedł wcale nieźle. W ostatnim czasie żył wyłącznie z inseratów, choć przez sześć miesięcy swego „organu“ nie wydawał wcale. Inserentom mówił, że to jest tylko taka polityczna pauza dziennikarska, bo on tak potem nagle chce zaskoczyć z tyłu parlament austryacki. I byłby może, kto wie, jak długo żył z tych łatwych dochodów dziennikarskich, gdyby nie zawistni ludzie, którzy zgłosili się na policyi w zeszłym tygodniu i skarżyli się na pana redaktora za to, że

1) sprzyniewierzył biżuteryę pani B. Barańskiej śpiewaczki w Olympii, oraz pieniądze i inne przedmioty;

2) wyłudzał pieniądze od kawiarzy, faktorów, kelnerów i innych osób pod pozorem, że dla nich swoimi wpływami w magistracie lwowskim wyrobi koncesye na szynki, kawiarnie itp;

3) wymusił większą kwotę od firmy Elster i Topf, fabryka tutek, za inserat, którego dotąd, tj. od roku jeszcze nie umieścił;

4) że wymusił na byłym kierowniku „Olympii“ przyjęcie artystki i strzelał do niego ze swego „zreformowanego“ rewolweru;

5) że usiłował wyłudzić większą kwotę od pewnego kawiarza, pokazując mu list od pewnego urzędnika magistratu, gdzie urzędnik ów rzekomo żąda kwoty 80 koron, za co zrobi wszystko — a zatem namawiał do przekupstwa urzędnika w sprawach urzędowych;

6) że od znanego faktora asenterunkowego F. wziął 800 kor., które na nim wymusił, grożąc mu w przeciwnym razie opublikowaniem w swoim tygodniku jego sprawek asenterunkowych;

7) że od pewnego artysty wyłudził większą kwotę, a raczej wymusił ją, grożąc zniszczeniem jego egzystencyi artystycznej.

Oto główne rodzaje sprawek, których dotąd jest dwadzieścia i kilka, po kilka w każdym dziale, a poszkodowanych zgłosiło się dotąd dziewiętnastu, między nimi pewien kawiarz z Kołomyi, na którym co parę tygodni wymuszał pewną większą kwotę, grożąc mu zniszczeniem dzierżonej wówczas przez niego kawiarni Teatralnej. Dalsi „klijenci“ p. redaktora zgłaszają się codziennie w policyi lub prokuratoryi, która w tej chwili bada działalność dziennikarską p. redaktora.

Może więc odetchnie karotowana systematycznie publiczność, a dziennikarze lwowscy pozbędą się bodaj na parę miesięcy miłego „kolegi“.

* * *

Poza tem przygotowujemy się do świąt i rozpoczęliśmy zarazem sezon zimowy, sezon ślizgawki, sankowania, rautów i wieczorków.

Lwów na święta — rzec można — wypiękniał i to mianowicie z wierzchu. O to stara się Towarzystwo upiększania miasta i inni ludzie dobrej woli. Wkrótce nasze latarnie będą miały ogródki z kwiatami na czubkach, inne latarnie ubrane są w szafki szklane z reklamami firm i zegarami. Na urządzenie pięknych wystaw sklepowych przy głównych ulicach wyznaczono konkurs z nagrodami dla kupców — słowem, wypiększamy się. Ale tylko z wierzchu, bo od kolan w dół jest u nas coraz gorzej. Dotąd było błoto, teraz jest śnieg przymarznięty, tworzący wcale przyjemne pagórki, po których naród ślizga się, kręcąc karki i wszystko — co jest do kręcenia. Lwów więc cały robi wrażenie niechlujnej damy, która ubrała strojny, wykwintny kapelusz i bluzkę, ale trzewiki ma podarte, pończoszki dziurawe i halkę wystrzępioną od spodu.

Na tem tle pulsuje życie wielkomiejskie a obecnie przedewszystkiem ruch przedświąteczny, ten znany, gorączkowy, sympatyczny.

A więc przepełnione wystawowe okna sklepów, wystawione najnowsze zeszłoroczne nowości i na mikołajki, przepełnione magazyny dające i niedające na kredyt, przepełnione handle win i innych palących trunków, przepełnione handle konfekcyi damskiej, męskiej i dziecinnej, przepełnione wszystkie bez wyjątku koncesyonowane i tajne lombardy, wszystko przepełnione rojące się od ludzi małych i wielkich, znanych i nieznanych, bogatych i ubogich, bo wszystko będzie świątkować i bawić się i radować i obmawiać się i ob mawiać innych bez końca. Ale nie mówmy o tem.

Numer ten dojdzie Was, kochani Czytelnicy, prawie w przeddzień świąt, więc przebaczcie Waszemu korespondentowi, że może znudził Was swoją pogadanką, ale wspomnijcie, że i ja przechodzę teraz czas przedświąteczny i potrącany z pokoju do pokoju, jak piłka, niniejszy list rozpocząłem w saloniku, a następnie pisany w sypialni, jadalni, pokoju dziecinnym, — kończę w przedpokoju...

Za to życzę Wam wszystkim szczerze wesołych, prawdziwie wesołych świąt i dobrego trawienia świątecznych specyałów. *Kl.*

Zjazd Kółek rolniczych w Warszawie.

W Warszawie odbył się świeżo zjazd przedstawicieli Kółek rolniczych. Zadaniem zjazdu było zjednoczenie wszystkich organizacyj pod protektoratem instytucyi ogólno-krajowej Na wniosek p. Władysława Grabskiego, zgromadzeni postanowili jednomyślnie przyłączyć Kółka włościańskie do Towarzystwa rolniczego na zasadach autonomicznych. Ustawa przewiduje rozmaite wydziały Towarzystwa centralnego. To też Kółka włościańskie będą miały swój wydział, reprezentowany przez swych delegatów w Radzie głównej Towarzystwa i za jej pośrednictwem sprawy swoje będą przedstawiały władzom lub przed nimi będą broniły swoich interesów. Na załączonej fotografii widzimy uczestników sympatycznego zjazdu Kółek rolniczych w Warszawie.

„Moralność pani Dulskiej".

Popularna powieściopisarka i znakomita autorka dramatyczna, Gabryela Zapolska Janowska, powróciła po ciężkiej chorobie do pracy twórczej, a wiadomość o tem zwolennicy jej wielkiego talentu powitali ze szczerą radością. Krakowska publiczność pośpieszyła tłumnie w sobotę do teatru miejskiego na premierę najnowszej sztuki autorki „Ahaswera", której zawdzięcza już tyle miłych wieczorów teatralnych I znowu premiera ostatnia była tryumfem Zapolskiej. Trzyaktowa komedya pt: „Moralność pani Dulskiej" odrazu zdobyła sobie powodzenie. Krytyka uważa ją za jedno z najtęższych dzieł autorki. Trafna, gruntowna obserwacya, doskonała budowa sceniczna, silny temperament, przemawiają tu głosem prawdy i życiem. A wrażenie to wzmacnia umiejętna charakterystyka postaci i potoczysty, żywy dyalog sceniczny. Do powodzenia „Pani Dulskiej" przyczyniło się i to jeszcze, że komedya Zapolskiej była może najlepiej graną sztuką sezonu obecnego na krakowskiej scenie. Będziemy mieli w przyszłym numerze okazyą omówić obszerniej zalety tej nowości scenicznej. Dziś poprzestajemy tylko na zamieszczeniu ostatniej podobizny autorki (zdjętej przed tygodniem), a fotografię tę mile powitają nasi Czytelnicy, którym dawaliśmy już w „Now. Illustr." utwory Zapolskiej i mamy nadal przyrzeczone jej cenne współpracownictwo w dziale powieściowym.



Nowi laureaci Nobla: Prezydent Stanów Zjednoczonych w Ameryce, Teodor Roosewelt, któremu parlament norweski przyznał tegoroczną nagrodę „pokojową" z fundacyi Nobla.

Ruch przedświąteczny.

Święta Bożego Narodzenia wywołują w mieście zawsze znaczny ruch, zwłaszcza w ostatnim tygodniu przed Wigilią. Handel ożywia się z podwójnych względów. Nie tylko bowiem odbywają się zakupy gospodarskie, że tak powiemy, kuchenno-spiżarniane, ale nadto do sklepów śpieszy licznie publiczność po upominki gwiazdkowe zarówno dla dziatwy, jak i starszych członków rodziny i najbliższych przyjaciół. Znać zawsze na mieście ten stopniowo wzmagający się ruch przedświąteczny, który wprawia w złoty humor cały świat kupiecki. Co więcej, zarabia na tym ruchu mnóstwo ludzi ubogich. W braku innej roboty, którą mróz i śnieg przerywa, wychodzą na targi miejskie z szopkami, zabawkami i przeróżnymi wyrobami rąk własnych, przeznaczonymi na choinkę, z samymi choinkami wreszcie, byle grosz zdobyć na zimę...

Ruch przedświąteczny pod koniec grudnia odbija się jednak dotkliwie na tych, którzy nic na nim nie zarobią, a napracują się bez miary w usługach publiczności. Do tych w pierwszym rzędzie należą pocztowcy. Nigdy bowiem niema tak znacznego ruchu na poczcie, jak około Bożego Narodzenia i Nowego Roku we wszystkich oddziałach, zarówno listowym, jak przesyłkowym, a nawet gazetowym. Wydawcy rzucają tysiące prospektów, cenników, numerów okazowych, a krewni jedni drugim posyłają prócz życzeń listem czy kartką, mnóstwo upominków, z których część większa przeznaczona bywa do... jedzenia. Ruch ten na poczcie zillustrowaliśmy w niniejszym numerze.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

przełożył z włoskiego W. Ż. K.

ROZDZIAŁ I.

Morderstwo w Salita Santa Nicola.

Jedną z najpiękniejszych ulic w Genui, a może i w całym świecie, jest Via Circomanvallazione. Wspaniale zabudowana, piętrząca się na stokach ku morzu, skupia w sobie wszystko to, co przybywających do Genui najbardziej zajmuje. Oczywiście, że w Genui szuka obcy przedewszystkiem widoku na port, na morze, na wzgórza Riviery, a właśnie z Via Circomvallazione roztacza się widok wspaniały i uroczy. Cicho tu, spokojnie, jak bywa zwykle w ulicach pałacowych, zbudowanych dla przyjemności i wygody bogaczów, a nie na użytek handlu i przemysłu. Jedna część tej ulicy dotyka do Albergo del Poveri; jest to najwspanialszy zakład dla ubogich, jakiego chyba żadne inne miasto nie posiada. W tem miejscu zaczyna się część miasta zwana Carbonara Niedaleko stąd skręca się w niepozorną uliczkę boczną, do komisaryatu policyjnego.

Skromny, nawet zaniedbany dom, nie zwraca niczem na siebie uwagi przechodnia i niktby nawet się nie domyślił, że tu urzęduje władza policyjna, bo i w domu i koło domu cicho tu, spokojnie. Czasem sprowadzą tu ujętego złodzieja, niekiedy podejrzanego włóczęgę, a zresztą urzędnicy możeby się i nudzili, gdyby nie to, że do innych części miasta bywają wzywani.

Było to czwartego kwietnia wieczorem. Dzień był ponury, smętny; deszcz prószył ciągle od samego rana i spędzał ludzi z ulicy, a tych, co w domu przebywać musieli, nastrajał senno, roztaczał nudę i wytwarzał ten niemiły nastrój niezadowolenia, jaki nawet najzdrowszych ludzi chorobliwie dotyka. W urzędzie policyjnym nie było też weselej. Komisarz dyżurny przeczytał kilka dzienników, dla odmiany przeszedł się kilka razy od swego biura ku drzwiom i z powrotem, wyczekując z upragnieniem, żeby mu przyprowadzono jakiego złodzieja, żeby go wezwano do jakichś czynności, żeby czemś przerwać tę senną nudę, która mu już powieki do snu układać zaczęła. Czekał daremnie, złodziej się nie zjawił, telefon milczał, nawet na ulicy nastała taka cisza, jakby wśród późnej nocy. Wybiła godzina dziewiąta, więc komisarz zwrócił się ku wygodnej otomanie, i położył się na niej, aby przespać nudę. I zaczęło mu się zasypiać bardzo błogo, bo ułożył się w przekonaniu, że prześpi noc całą spokojnie. Deszcz monotonnie bił o szyby kroplami i uśpił prędko znudzonego komisarza.

O pierwszej w nocy odezwał się w komisaryacie dzwonek telefonu. Oczywiście, że komisarz, zasnąwszy smacznie i twardo, nie słyszał go wcale, a nawet ajent policyjny, który miał czuwać przy telefonie, także dzwonka nie usłyszał, bo i on zdrzemnął się w krześle.

Dzwonek odezwał się po raz drugi, tym razem dłużej i ajent zerwawszy się z krzesła, pospieszył do aparatu.

— Kto jest w komisaryacie Carbonara? — zapytał jakiś głos drżący, niespokojny.

— Komisarz dyżurny i ajent policyi — odpowiedział ajent.

— Chciałbym natychmiast mówić z panem komisarzem; sprawa bardzo pilna, bardzo poważna — mówił tensam drżący głos, jakby przelęknionego człowieka.

— Natychmiast pan komisarz przyjdzie — rzekł ajent i zawiesiwszy słuchawkę, zaczął budzić komisarza.

— Co u dyabła? — krzyknął zbudzony komisarz.

— Nie wiem, panie komisarzu; wezwanie telefoniczne do pana.

— Od kogo?

— Nie wiem Jakiś głos drżący, stłumiony, jakby kogoś, co się czemś bardzo przeraził.

— Może jakie głupstwo, albo jaka mistyfikacya, mruczał komisarz i poszedł do aparatu.

— Halo! Komisarz policyi Dinegro! Kto mówi?

— Księgarz Carmine.

— Czego pan sobie życzy?

— Zdaje mi się, panie komisarzu, że właśnie w tej chwili spełniono na piętrze, nad mojem mieszkaniem, jakąś zbrodnię.

— Co panu tę myśl nasuwa?

— Już przed dwiema godzinami słyszałem żywe, głośne spory w mieszkaniu sąsiada na piętrze i energiczne stąpania przez czas dłuższy. Doznawałem wrażenia, jakoby osoby, kłócące się z sobą, tupały nogami, przyskakiwały do siebie, a nawet mocowały się ze sobą. Nagle, przed kilku minutami, wzmógł się ten hałas i usłyszałem, jakby coś runęło na podłogę, poczem rozległ się dwukrotny rozpaczliwy krzyk po całym domu. Panie komisarzu, to był straszny krzyk, to był krzyk, jakiego nigdy w życiu nie słyszałem; skamieniałem, nerwy moje doznały strasznego wstrząśnienia, krew ścięła mi się w żyłach, to był krzyk straszny...

— Gdzie pan mieszka? — zapytał komisarz.

— W Salita Santa Nicola numer 32.

— Dlaczego pan nikogo w domu nie zaalarmował?

— Bo zostałem sam jeden w całym domu, gdyż portyer udał się ze znajomymi na jakąś zabawę, a oprócz mnie i portyera mieszka tu rodzina, która właśnie wyjechała i jakiś starszy pan nieznajomy na piętrze, właśnie tam, gdzie popełniono zbrodnię. Nie mając broni i sam jeden w domu, bałem się nie tylko wyjść z mieszkania, ale nawet głośno oddychać, aby złoczyńcy i do mnie się nie dobrali.

— Natychmiast zjawi się tam straż policyjna. Tymczasem dziękuję.

Komisarz dał sygnał, że rozmowa skończona, a potem zwrócił się do prefektury z zapytaniem:

— Czy księgarz Carmine mieszka rzeczywiście na Santa Nicola — Przekonawszy się, że to nie mistyfikacya, zebrał się natychmiast, kazał przywołać dwóch ajentów i spieszył pod wskazanym adresem. Rozumiał dobrze, że sprawa wymaga pośpiechu, bo zbrodniarze będą chcieli ujść jak najprędzej po spełnieniu czynu.

Zdążając z ajentami ku miejscu zbrodni, spotkał patrol policyjną, wracającą ze Salita Santa Nicola.

— Czy nie było tam nic podejrzanego, zwłaszcza pod numerem 32? Czy nie spotkaliście jakich przechodniów?

— Zupełnie spokojnie, panie komisarzu. Jeszcze niema pięciu minut, jakeśmy stamtąd wyszli; ulica była zupełnie pusta, wszędzie cicho i spokojnie.

— Jeden z żołnierzy uda się ze mną — rzekł komisarz Dinegro i jeszcze spieszniej zdążał z ajentami i żołnierzem do księgarza Carmine.

Może też nie więcej nad kwadrans upłynęło czasu od chwili, jak otrzymał doniesienie telefoniczne, a już zatrzymali się przed domem pod liczbą 32.

Była to piękna, nowo zbudowana willa, otoczona małym ogrodem. Bardzo eleganckie sztachety żelazne oddzielały ogród od ulicy. Willa miała tylko jedno piętro i parter wysoki. Stanąwszy przed bramą, spojrzano uważnie w okna, ale żadne nie było otwarte, żedne oświetlone.

— Proszę dobyć broni i mieć się na baczności, bo albo nas zbrodniarze chcą wziąć w zasadzkę, albo też może gotują się do obrony.

Urzędnicy wyjęli rewolwery i trzymali je w pogotowiu Jeden z ajentów ujął klamkę od drzwi ogrodowych; pokazało się, że drzwi były otwarte.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z chwili.

Rzadko prawdziwa zasługa bywa uznaną i dostatecznie wynagrodzoną — owszem w naturze ludzkiej leży lekceważenie jej, a nawet nią pomiatanie. Doświadczają tego na sobie nietylko skromni, mało znani działacze, ale i najgłośniejsi, najpotężniejsi tego świata mocarze. Jestto objaw bolesny i przykry dla serc czułych w ogóle, a cóż dopiero dla felietonistów, którzy powinni być wrażliwi za miliony. Niech więc przebaczonem mi zostanie, iż zamiast pisać o zbliżającym się karnawale i innych rzeczach wesołych, uczynię zadość potrzebie serca i stanę w obronie męża najwięcej dziś spotwarzanego, pomimo, iż wielostronny swój talent i niepohamowany język poświęcił całkowicie dla dobra cierpiącej ludzkości. Nazwiska jego wymieniać nie potrzebuję, każdy bowiem domyśli się, że klientem moim nie może być kto inny, tylko ten, którego przed kratki sądu moralnego ciągną prawie wszystkie nacye europejskie, a nawet narody i rządy innych części świata. Nie kochają go Polacy, Czesi, Francuzi, Anglicy, Rosyanie, Włosi, Duńczycy; mają do niego pretensye Chińczycy w Azyi za bohaterskie czyny Waldersee'go; krzywią się na niego Herrerzy w Afryce, za to, że pragnie ich obdzielić dobrodziejstwami cywilizacyi; skarżą się na niego i afrykańscy Boerowie za to, że ich ludzi przyjaźnią, a opuścił w ciężkiej potrzebie; są mu nieprzychylne republiki południowo-amerykańskie, ponieważ próbował celności strzałów artylerii morskiej na ich miastach nadbrzeżnych; — jedna tylko Australia, jeżeli się nie mylę, nie przystępuje do wystosowanego przeciw niemu aktu oskarżenia. Ma on zawistnych nawet między najbliższymi krewnymi i kolegami, — tak np. rodzony jego wuj, zajmujący wpływowe i dobrze honorowane stanowisko etatowe w połączonych królestwach Wielkiej Brytanii, z chęcią by go połknął jako rodzenek w tradycyjnym plumpuddingu wigilijnym. Przyjaciół zaś jego możnaby na palcach policzyć: jest ich garść wśród Niemców, garść w Peterhofie, garść w parlamencie austryackim; jeżeli do tego dodamy Ekscellencyę Gołuchowskiego i Ekscellencyę Aehrenthala — to już i lista zamknięta. A nieprzyjaciół — Boże mi-ły! — oprócz wyżej wymienionych, w samym Krakowie jest ich 101 000, a w wielkim Krakowie (jeżeli go nasze oczy kiedy obaczą) będzie conajmniej ze 150 000. A za co? Za dobre serce, za ułatwianie obcoplemieńcom nauki języka niemieckiego, za przykładne karanie tak starych jak i 10 letnich buntowników i buntowniczek, a wreszcie za to, że pragnąłby cały świat zagarnąć pod swe skrzydła opiekuńcze.

Ale jeszcze cechą wielkich serc i wielkich umysłów, że nietylko niewdzięcznym przebaczają, ale jeszcze starają się o sprawienie im przyjemności. Kiedy w ostatnich czasach skojarzyli się przeciw niemu wszelkiego rodzaju wywrotowcy i odmówili mu skromnej sumy na szlachetny cel cywilizowania murzynów, on się nietylko nie uczuł tem dotknięty, ale postanowił wszystkich, przyjaciół i nieprzyjaciół swoich, obdarzyć wspaniałym podarunkiem na gwiazdkę. W delikatnych słowach: Ich jage die ganze Bande zum Teufel! polecił rozwiązać parlament i — zadowolił wszystkich niezadowolonych. Stronnictwa rządowe są zachwycone, że »skończy się podstępne panowanie centrum«, że rząd rozwinął energię. Centrum cieszy się, że postawiło na swojem i że znajdzie się w tej samej liczbie w nowym parlamencie. Socyaliści skaczą z radości przekonani, że pomnożą swój zastęp bojowy. Nawet Polacy, choć im w państwie »bożej łaski Bożej« nigdy nie bywa wesoło, obecnie uśmiechają się i mówią: dobra nasza! pokażemy szoldrom, że jeszcze jesteśmy panami u siebie. Ażeby tak wszystkich zadowolić, tak wszystkim radość sprawić, trzeba być zaiste czarodziejem, mężem wielkiego serca.

Polacy może najwięcej mają powodów do wdzięczności dla tego czarodzieja. Polityka jego przywróciła im blask zewnętrzny i wzmocniła ich wewnętrznie. Sam fakt, że głosy polskie rozstrzygnęły losy wniosku rządowego, że kilkunastu posłów polskich zdecydowało klęskę rządu w sejmie rzeszy niemieckiej, mówi już wiele za siebie. Ktoryś z mężów stanu powiedział, iż rozumny polityk nie lekceważy nawet najsłabszego przeciwnika, a jeden z potężnych władców starożytnych za podstawę swej potęgi uważał zadowolenie poddanych. Stąd swoją drogą wniosek, że rząd niemiecki nie jest rozumnym politykiem i że przed paru tysiącami lat naczelnicy państw mieli mniej może serca i daru wymowy, ale za to lepsze o rządzeniu wyobrażenie, niż je dziś mają dziedziczni panowie krainy filozofów i humorystów z Köpenicku.

Dowodem tego choćby prześladowanie dzieci polskich za opór przeciw odmawianiu pacierza w języku niemieckim. Trudno było ze stanowiska państwowego popełnić większą omyłkę, a nam oddać większą przysługę. To katowanie dzieci, te kary wymierzane ich rodzicom, te wydalania robotników z fabryk, to usuwanie z posad leśników, a nawet kominiarzy, których dzieci chcą modlić się w języku ojczystym, te haniebne wyroki odbierające dzieci rodzicom — to przecież taki posiew patryotyzmu polskiego, wobec którego na drugi plan schodzą najzacniejsze i najusilniejsze w tym kierunku nasze starania. Gdyby grono najgoręcszych patryotów z całem poświęceniem przez dziesiątki lat pracowało nad rozbudzeniem ducha miłości ojczyzny wśród najmłodszego pokolenia, nie mogłoby dojść do tak wspaniałych rezultatów, jakie w ciągu paru miesięcy wydał barbarzyński nakaz odmawiania pacierza w języku niemieckim. Wszak te dzieci, ze względu na młodociany swój wiek, albo całkiem nie miały jeszcze uświadomienia narodowego, albo posiadały je w małej mierze, a dziś stanęły w rzędzie najlepszych patryotów, bo nie frazesem dowodzą swych uczuć narodowych, ale mogą się wykazać czynną ich obroną, cierpieniem za nie...

Więc nie przeklinać rządu pruskiego, a błogosławić go raczej wypada za taką wydatną pracę nad uświadomieniem narodowem młodego pokolenia w Wielkopolsce. To też gdyby był ks. posłem Jaździewskim, nie wyciągałbym w parlamencie starych traktatów, nie powoływałbym się na przyrzeczenia królewskie, — bo kiedyż to Prusak nie łamał traktatów, kiedy to dotrzymywał swych przyrzeczeń? — ale dziękowałbym rządowi pruskiemu za wspaniałomyślną pomoc naszym patryotycznym usiłowaniom. Dziękowałbym jako Polak, — a jako człowiek pozwałbym tylko przed trybunał ludów tych katów, co znęcają się nad dziećmi, przedstawiłbym temu trybunałowi jaskrawy obraz nieszczęść tej części naszego narodu, którą nie Opatrzność (jak chce Sienkiewicz) ale zawistny los oddał »pod władztwo« króla pruskiego, potomka lenników, przysięgających wierność koronie Polskiej. A może gdybym był ks. posłem Jaździewskim, poszedłbym za przykładem posła Chłapowskiego, który swojem: psiakrew! najlepiej scharakteryzował uczucia polskie względem prześladowców. Była to najkrótsza mowa, jaką kiedykolwiek ze strony polskiej wygłoszono w sejmie rzeszy niemieckiej, — najkrótsza, a przecież najdobitniejsza, największej posiadająca treści. W tem psiakrew był i ból członka nieszczęśliwego narodu, było i potępienie nikczemnego systemu i jego obrońców, było i zaznaczenie tej bezsilności, która nam nie pozwala gwałtu gwałtem odeprzeć, była i groźba, że kiedyś przyjdzie dzień zapłaty. Był to szczery wybuch uczucia. Parlamentarny czy nieparlamentarny, dość, że szczery.

A szczerości, nawet w polityce, choć ona jest, jak mówi Flaubert, *un métier de la canaille*, nigdy za wiele. Brak jej często razi, wywołuje niesmak. Kiedy czytamy np. przemówienie p. Abrahamowicza wypowiedziane w delegacyach, a potrącające o sprawę wydalań pruskich i wojny wydanej dzieciom polskim, muszą nas razić... niedomówienia. Zrobił on niby, co do niego należało, ale tak lękliwie, tak arcygrzecznie, tak po salonowemu, tak »polityczni«, jakby nie miał na myśli zbrodni, lecz lekkie przekroczenie. Natomiast Czech Kramarz jasno postawił sprawę, dobitnie napiętnował łajdactwa pruskie. Nawet niemiec Schoenborn, choć nie »entuzyasta wolności«, jak się sam zastrzegł, przecież silnie potępił postępowanie »zaprzyjaźnionego mocarstwa«. Nasi wielcy małomiasteczkowi mężowie stanu objaśniali mnie, że Czech to mógł uczynić, ale nam nie wypadało, bo my, bądź co bądź, jesteśmy stroną. Dziwna logika. Ten, którego biją ma mniej krzyczeć, niż ci, co się przypatrują.

Ten brak szczerości przyświecał całej akcyi wiedeńskiego Koła polskiego w sprawie reformy wyborczej. Słusznie, czy niesłusznie, ale większość jego nie chciała ani równego, ani bezpośredniego, ani powszechnego prawa głosowania, a z chęcią może pozbyłaby się i czwartego przymiotnika: tajnego. Za mało miejsca w fejletonie, aby się nad tem rozwodzić; dość, że ta większość nie chciała i to bardzo nie chciała, bała się i to bardzo bała, broniła swej cnoty zębami i rękami, opierała się Körberowi, Gautschowi, Hohenlohemu, a przecież w końcu uległa czwartemu oblubieńcowi, Beckowi. Wytargowała wprawdzie co nieco, ale właściwie ustąpiła znów przez »grzeczność«, bo tak sobie życzyły »górne sfery«. Nie wchodzę, powtarzam, w słuszność czy nie słuszność owego »niechcenia«, ale to zrzeczenie się swych »najsilniejszych przekonań« na życzenie »góry« stoi w rażącej sprzeczności z zasadami państwa konstytucyjnego. Co to za konstytucya, co to za przedstawicielstwo narodowe, które w najważniejszych sprawach ustroju konstytucyjnego ulega »życzeniom«. Czyżby była prawdą owa dowcipna uwaga Francuza, że konstytucye są jak piękne kobiety — *elles ne demandent qu'a être violés.*

Ale mniejsza o to. Dość, że jeżeli cnota Izby Panów będzie równie oporną jak cnota większości Koła Polskiego i za cenę *numerus clausus* podda się »fatalności«, to będziemy mieli niezadługo w Galicyi wielkie bezpłatne widowisko, zwane wyborami. Nie będą one wprawdzie równe, choć się tak nazywają, ani tajne, choć tę formę zachowają, ani powszechne, bo tej powszechności w gminach wiejskich postawiono sztuczne zapory, ani bezpośrednie w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo bez »pośredników« wola narodu wyrazu swego nie znajdzie, — będą w rzeczywistości ową różą jerychońską, która po pierwsze nie jest różą, a po drugie nie rośnie w Jerycho, — ale bądź co bądź będą i prawdopodobnie sprawią wielką niespodziankę tym, co się po nich gruntownej zmiany w składzie delegacyi polskiej spodziewają.

W ogóle słońce polityczne przyszłego roku wzejdzie na naszych ziemiach pod znakiem wyborów. Będzie wybierała Wielkopolska posłów do parlamentu berlińskiego, będzie Galicya wysyłała tak obrońców ojczyzny do murów Wiednia, jak naczelników gospodarki krajowej do grodu nad Pełtwią, będzie wreszcie Królestwo Polskie z całym zaborem rosyjskim dumać nad tem, komu w Dumie petersburskiej powierzyć zastępstwo interesów polskich. Nie znajdzie się ani jeden zakątek na naszej ziemi, w którymby niedługo nie rozbrzmiewały różne hasła wyborcze, w którymby nie radzono nad dobrem jednej ojczyzny... w trzech państwach zaborczych. Chwila to rzeczywiście »osobliwa« — pierwszy raz, nad każdem polskiem miastem i nad każdą polską wioską zawiśnie jednocześnie troska, komu powierzyć mandat, aby tak działał, *ut sit bene Patriae.*

Wybory pod zaborami pruskim i rosyjskim są zapowiedziane na styczeń i luty — Galicya nieco później do nich przystąpi, bo Austrya z reguły zawsze spóźniać się musi.

Wszystkie one będą miały doniosłe znaczenie nietylko dla każdej zosobna dzielnicy, ale dla całej Polski, bo dobro lub niedola cząstki, jest dobrem lub niedolą całości. W każdym razie jednak wybory w Królestwie, na Litwie i w krajach zabranych przerastają znaczeniem wybory galicyjskie i wielkopolskie. W Wielkopolsce, niestety, może iść tylko o to, aby nie stracić mandatów i jeżeli można choć jeden, lub dwa Niemcom odebrać, — pozatem trudno marzyć, aby ta garstka kilkunastu naszych reprezentantów była w stanie wywalczyć krajowi jakiekolwiek ustępstwa lub prawa narodowe. W Galicyi wybory nie wpłyną wiele na stosunki wewnętrzne i stanowisko nasze w monarchii. Natomiast od składu przyszłej Dumy wogóle i od składu jej Koła polskiego wiele zależeć może. Kto wie czy w rękach tych »wybrańców narodu« nie będą spoczywały losy największej części naszej rozszarpanej ojczyzny, czy od ich rozumu, zdolności i sprytu nie będzie zależała cała przyszłość najbliższych pokoleń.

Więc też z uczuciem wielkiej ulgi widzimy, że przystąpiono w Królestwie do koncentracyi sił narodowych. Doktrynerstwo, będące następstwem braku życia politycznego, wytworzyło w niem opłakane stosunki: walkę wszystkich przeciw wszystkim. Maciek bił się z Kubą, Walek tarmosił Stacha, Icek judził ich na siebie, a wszystkim im się zdawało, że niesłychanie tem dokuczą Iwanowi, że go przepędzą na kraj świata. Nie zrozumiano że walka stronnictw bardzo pożyteczna (choć i to nie zawsze) w narodzie niepodległym, może się stać ruiną dla społeczeństwa, zostającego pod przymusową opieką, zmuszonego do rozpaczliwej obrony szczątków swej odrębności. A cóż dopiero, jeżeli ta walka przybiera ostre formy i staje się *bellum omnium contra omnes*! Mogąc bez żadnych strat zbierać korzyści z zamętu panującego wśród »opiekunów«, podkopano kraj ekonomicznie, a więc osłabiono jego siły żywotne. Na szczęście opamiętano się i to opamiętanie się w bilansie ubiegłego roku pokrywa choć w części olbrzymie deficyty i daje nadzieję, że budżety lat następnych przyniosą nadwyżkę. Oby tak się stało! — powinniśmy życzyć sobie w chwili, kiedy »Bóg się rodzi, moc truchleje«...

Kazimierz Bartoszewi[cz]